Sprawa krożańska

z aktów urzędowych, tudzież sprawozdań i mów adwokatów rosyjskich spisana.

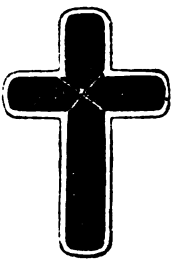

ANUL

BIBLIOTEKA NARODOWA

WYBRANE Z BUDŻETÓW

LWÓW.
NAKŁADEM „GAZETY NARODOWEJ“.
Z DRUKARNI I LITOGRAFII PILLERA I SPÓŁKI.
1895.

1966 3/87

PRZEDMOWA.

Mordowanie włościan krożańskich za to, że nie chcieli oddać kościoła Moskalom, nie jest bynajmniej faktem pojedynczym lub nowym. Takich samych gwałtownych wydzierań z rąk pobożnych włościan świątyń, postawionych przez nich, już od początku tego wieku bywało setkami. Takie same gwałty, takie same knutowania, takie pastwienia się nad nieszczęśliwym i bezbronnym ludem, miały miejsce niezliczone razy.

Nowym jest jedynie rozgłos, który cała sprawa krożańska, następująca po wielu innych podobnych, przybrała dzięki dwom głównym przyczynom.

Z tych przyczyn pierwszą było zamianowanie na miejsce wileńskiego generał-gubernatora, ciemięzcy, jakich dotąd nawet w Moskwie było mało, generała Piotra Wasiliewicza Orżewskiego, który na łzach i krwi ludzkiej zwykł robić karjerę, a w Wilnie wyobraził sobie, niewiadomo dla czego, że, jeżeli uda się mu sztucznie wywołać rozruchy, a następnie stłumić takowe we krwi ludzkiej, to będzie miał zasługę u cara Aleksandra III.

Druga przyczyna była ta, że nakoniec w znękanej i pod knutem Orżewskiego jęczącej Litwie, znalazła się tym razem garstka ludzi odważniejszych, którzy oburzeni takiem łotrostwem, zajęli się obroną

katowanych włościan krożańskich i obronę przeprowadzili do końca.

W ten sposób stało się, że sprawa krożańska, która niczem szczególnem nie różniła się od wielu i wielu innych, zupełnie podobnych, zamiast zniknąć, jak to dotąd bywało, w aktach administracyi moskiewskiej na Litwie, przybrała od razu ogromne rozmiary i nabrała rozgłosu, którego z zupełnie przeciwnych powodów życzyli sobie i sam Orżewski i obrońcy katowanych włościan krożańskich.

Jedynie dzięki temu, sprawa doszła do sądu, który jednak nad wszelkie spodziewanie i Orżewskiego i obrońców, jednym sprawiedliwym wyrokiem napiętnował cały system gwałtów na Litwie.

Wszystko, co następuje, jest tylko wiernem i treściwem odtworzeniem tego, co się działo bądź w Krożach, bądź w Izbie sądowej wileńskiej, spisanem na podstawie aktów sądowych, zeznań świadków i mów obrońców, rodowitych Moskali, ale ludzi szlachetnych i uczciwych, bo są między Moskalami i tacy.

Proces męczenników krożańskich.

W chwili, gdy w Spale, na ziemi polskiej, car Alexander III już dogorywał, a cała Europa, nie wyłączając bezpośrednio interesowanej ludności polskiej z pod moskiewskiego zaboru, z natężeniem wyczekiwała wieści o zgonie rosyjskiego władcy, to na drugim końcu polskiej ziemi, w stolicy Litwy, w Wilnie, nad męczennikami z pod Kroż toczył się proces, w którym knutami bici włościanie występowali w roli oskarżonych, a ci, którzy ich knutowali, byli świadkami.

Sprawa ta, która w swoim czasie wywarła takie olbrzymie wrażenie nietylko w granicach dawnej Polski, ale w całej Europie — wywołała także wśród zdrowszej części społeczeństwa rosyjskiego tak wielkie oburzenie, że luminarze adwokatury rosyjskiej: ks. Urusow, Turczaninów, Żukowskij i Andrejewskij, umyślnie przyjechali z Petersburga i Moskwy, ażeby bezinteresownie bronić oskarżonych. Z poczucia honoru i obowiązku chcieli ci mężowie być niejako sekundantami w tym ostatnim pojedynku między legalnością choćby względną, wprowadzoną przez poprzedniego cara Aleksandra II., a tą barbarzyńską bezwzględnością i naigrawaniem się z wszelkich form spra-

wiedliwości, które car Aleksander III. do sądownictwa był wprowadził.

Zanim przystąpimy do aktu oskarżenia, scharakteryzowania sędziów i świadków, tudzież opisania samego procesu, niezbędnem jest wpierw streścić przebieg całej sprawy.

I. Przebieg sprawy krożańskiej.

Parafia krożańska, położona wśród etnograficznej Żmudzi koło granicy pruskiej, składa się przeważnie z zamożnych włościan Żmudzinów, nie mówiących ani po polsku, ani po moskiewsku, a jedynie po żmudzku. Nawet kazania w tym języku są tam wygłaszane, (księża należą do tej narodowości) a sądy pokoju odbywają się za pomocą tłómaczów. Szlachty i znaczniejszych właścicieli dóbr prawie nie ma i cechą ogólną tej parafii, jak w ogóle wszystkich Żmudzinów, jest bezwzględne przywiązanie do religii katolickiej, oraz najskrupulatniejsze przestrzeganie jej przepisów i obrządków.

Ponieważ w ogólności nieznaną jest miejscowość Kroże, w której rozegrała się tragedya historycznej doniosłości — zaznaczyć trzeba, że Kroże leżą nad rzeką Krożenią, wpadającą do Dubissy. Za polskich czasów były one miastem powiatowem w ks. żmudzkiem. Historya Litwy wspomina o nich po raz pierwszy w roku 1257, mianowicie, gdy Kroże zostałe nadane przez Mendoga zakonowi inflanckiemu.

W Krożach były z dawnych jeszcze czasów trzy kościoły: 1) drewniany, farny, jeden z pierwszych na Żmudzi, fundowany przez Władysława Jagiełłę i Witołda w 1413; 2) jezuicki, murowany, założony w 1621 przez Jana Karola Chodkiewicza; wreszcie 3) kościół z klasztorem pp. Benedyktynek, zbudowany

przez Wołłowicza w 1642. Z tych trzech w jednym tylko odbywa się dzisiaj nabożeństwo, mianowicie w farnym, maleńkim, grożącym zawaleniem.

Gdy Moskale po zabraniu Litwy zaczęli kasować zakony i ich dobra sobie przywłaszczać, został zamknięty i kościół jezuicki w Krożach. Zabudowania kościelne oddano komisyi edukacyjnej i była tam szkoła wydziałowa, a od 1818 do 1831 gimnazyum. Dzisiaj w tych zabudowaniach mieści się poczta i różne pomieszkania; nakoniec zrujnowany przez Moskali kościół runął, resztki rozebrano po 1840 r. Jezioro, należące do klasztoru, na mocy rozporządzenia carskiego oddano na własność cerkwi kowieńskiej, posiadłości inne klasztoru wraz z wiatrakiem przeznaczono na urządzenie rosyjskiej kolonii.

Losy kościoła Benedyktynek jeszcze smutniejsze. Ukaz carski z 12 grudnia 1891 nakazał mniszki wyrzucić, kościół zamknąć i zburzyć. O to właśnie wykonanie carskiej woli, oblanej krwią męczeńską żmudzkiego ludu — toczył się proces w wileńskiej Izbie sądowej, pod nazwą sprawy krożańskiej. Mianowicie o zachowanie kościoła Benedyktynek prosili parafianie cara. W pokornej prośbie, do cara wniesionej, przedstawiali parafianie, iż kościół, który zamknąć kazał, jest piękny, murowany, wzorowo utrzymany i w środku miasta. „W nim modlili się ojcowie nasi, a i my też o Ciebie gorące wnosić modły przywykliśmy“, pisali włościanie, to też prośba ich rzeczywiście była tylko wyrazem naglącej potrzeby i słusznego żalu, jak to dowodzi następujące zestawienie faktów.

Farny kościół w Krożach był drewniany, ciasny i stary. Jeszcze za czasów generał-gubernatora wileńskiego Albedyńskiego, który później był w War-

szawie, tamże umarł, i odznaczał się względną ludzkością, — włościanie krożańscy otrzymali pozwolenie na zbieranie między sobą składek na budowę nowego kościoła. Gdy z krwawych oszczędności, odmawiając sobie chleba powszedniego, zebrali dostateczną kwotę i przystąpili do restauracyi pięknych i okazałych murów dawnego kościoła Benedyktynek, położonego w samem miasteczku, — nadesłał niespodzianie nowomianowany generał-gubernator wileński Kochanow rozporządzenie nowe, powołujące się na to, że prawo nie pozwala, aby istniały dwa kościoły w jednem miasteczku bez osobnego pozwolenia carskiego, — wobec tego Kochanow, po różnych pertraktacyach z władzą duchowną katolicką w Kownie, kazał zamknąć świeżo odnowiony kościół, a parafianom pozostawił kościół stary.

Można sobie wyobrazić rozpacz nieszczęśliwych Żmudzinów, gdy im to rozporządzenie ogłoszono i gdy przekonali się, że przepada im nietylko owoc ich starań, zabiegów i pracy, lecz że będą musieli się rozstać z piękną świątynią, do której już byli przywykli.

Ponieważ jednak rozporządzenie to nie miało charakteru nieodwołalnego, wyobrazili sobie włościanie, że rozporządzenie to będzie można znieść i zaczęli wnosić skargi i prośby pod adresem cara.

I rzeczywiście w zasadzie wcale się nie mylili, lecz dla cofnięcia zabójczego dla nich rozporządzenia nie obrali właściwej drogi. Nie wiedzieli, a może też i pomimo dość wyraźnych nagabywań czynowników wiedzieć nie chcieli, że zamknięcie kościoła było robotą zorganizowanego towarzystwa łapowników, które pod rządami Kochanowa publicznie eksploatowało Litwę, jak to później przy skandalicznem wydaleniu tegoż

Kochanowa jawnie nawet przed sądami wykryto. Jakże bowiem można było dopuścić, rozumowali czynownicy, ażeby z parafii bogatej, własnemi siłami stawiającej kościoły, nie wyciągnąć odpowiedniej łapówki? Na cóżby w takim razie panowie Gołołobow, Samojło, i syn Kochanowa byli czynownikami?*)

Nieszczęśliwi Żmudzini zamiast zrozumieć, o co szło tym panom i złożyć nową składkę dla nich, przez co by cofnęli rozporządzenie zamknięcia kościoła bez kłótni i hałasów, przypuszczali w prostocie ducha, że podając prośby do cara, dobiją się sprawiedliwości; utwierdziła ich w tem mniemaniu ta okoliczność, że Kochanow i jego towarzystwo łapownicze, w nadziei pożądanego skutku, t. j. łapówki od chłopów, wcale nie nastawali na faktyczne odebranie kościoła, który pozostawał dalej w rzeczywistem posiadaniu włościan, a nawet mszę świętą w nim odprawiano, póki sprawa była w toku.

Tymczasem nastąpił zwrot niespodziewany. Kochanowa, po wykryciu roztrwonienia przez jego otoczenie sum, przeznaczonych na pomnik Murawiewa w Wilnie, jawnych łapówek, wymaganych i branych, tudzież różnych innych brudnych nadużyć, wydalono w styczniu 1893 roku. Na jego miejsce zamianowano żandarmskiego generała Orżewskiego. Ten, były naczelnik III-go oddziału, t. j. tajnej policyi, zaczął od tego, iż porozpędzał głównych łapowników Kochanowa, a między innymi sromotnie wydalił z Wilna własnego jego syna i wziął się do sprawy zupełnie inaczej. Dla włościan krożańskich ta zmiana była

*) Notatka dotycząca Gołołobowa, Samojły i syna Kochanowa na końcu broszury; patrz objaśnienie Nr. I.

jednak fatalną. A mianowicie, o ile Kochanowowi, Ormianinowi z Tyflisu i jego otoczeniu, szło przedewszystkiem o zebranie pieniędzy — o tyle Orżewski, będąc synem popowicza i sławnego łapownika, a więc już z domu bogaty, czuł tylko potrzebę zrobienia karyery. Szło mu więc o wywołanie rozruchów, a tem samem o stworzenie dla siebie pola do popisów i pokazania, że jego obecność i znane okrucieństwo są w danym razie niezbędnemi. Kochanow żądał łapówek, Orżewski chciał przelewu krwi, a los tak zrządził, że gdy przedmiotu swych życzeń nie udało się wydrzeć od włościan krożańskich Kochanowowi, to swoje wydarł i to obficie Orżewski.

Pomijając szczegóły, które z niżej wydrukowanego aktu oskarżenia i z załączonych notatek aż nadto będą widoczne, i nie wdając się w charakterystykę aktorów tego dramatu, które też niżej przytoczymy, — chcemy tutaj powiedzieć, że instrukcye, w tym kierunku dane przez Orżewskiego Klingenbergerowi, *) wykonane zostały przez tegoż dosłownie. Dzięki moskiewskiemu sprytowi tegoż Klingenberga, Orżewski mógł rzeczywiście posyłać do Petersburga telegramy o „powstaniu“. Dość było, jak widać z aktu oskarżenia, wyknutować kilkadziesiąt nieszczęśliwych kobiet i starców, kilkunastu potratować kopytami koni kozackich, aby w Petersburgu, jako poskromiciel „buntów polskich“ zajaśnieć aureolą cudzego męczeństwa.

Sposób przez Klingenberga użyty był bardzo prosty. Gdy po lekkim i zupełnie nic nie znaczącym oporze, okazanym przez parafianki krożańskie księdzu ka-

*) Notatka dotycząca Klingenberga i Orżewskiego na końcu broszury; patrz objaśnienia Nr. II. i III.

tolickiemu, który przyszedł w towarzystwie urzędnika policyjnego wynosić Przenajświętszy Sakrament z kościoła, włościanie zebrani w Krożach dowiedzieli się, że ma przyjechać gubernator z Kozakami, postanowili go przyjąć z krzyżem, portretami cara i carowej i błagać go o wyjednanie łaski monarszej, aby kościoła wystawionego krwawemi oszczędnościami im darmo nie odbierano.

W każdym razie włościanie oświadczyli, że skoro im objawią wolę cara, usłuchają jej bezwzględnie i złożywszy przed jego przedstawicielem swoje żale, rozejdą się do domów.

Nic nie mogło być fatalniejszego nad to postanowienie włościan dla panów Orżewskiego i Klingenberga, bo gdyby włościanom rzeczywiście dano możność rozejść się spokojnie a kościół zamknięto bez rozlewu krwi, przepadłyby plany uśmierzenia nibyto powstania, a więc i nagrody za to spodziewane od cara. Tego szczególnie trzeba było uniknąć, temu przeszkodzić, wszelkiemi środkami. To też dowiedziawszy się o tem Klingenberg, w otoczeniu kilkunastu ludzi, wpada o trzeciej godzinie w nocy do kościoła, rozpędza chłopów, rąbie portret carski i każe swoim urjadnikom knutować kobiety. Pomimo oporu oficerów żandarmskich (z których nawet jeden, rotmistrz Simionów, broniąc 80 letniej staruszki, sam trzykrotnie uderzony został nahajką) — posyła drugich urjadników za wychodzącymi włościanami, aby tych także knutami obdzielić. Następnie każe strzelać na wiatr w kościele i gdy nakoniec kilku odważniejszych włościan, rozwścieklonych tem postępowaniem, rzuciło się na niego i zaczęło go po twarzy, czyli, jak sam pan gubernator przyznaje, „po czapce“ okładać, cofa się na chór kościoła z kilkunastu

policyantami i oczekuje wezwanych Kozaków, którzy przybywszy, dopuszczają się okrutnych gwałtów.

Mianowicie stratowano wówczas na śmierć ośm osób, ciężko pokaleczono 42, a w orgiach, których się następnie kozactwo dopuściło, pogwałcono 15 kobiet i dziewcząt. Listę oficyalną ofiar tego rodzaju podajemy na końcu niniejszego sprawozdania *).

Co do bitych nahajkami z rozporządzenia Klingenberga i w jego obecności w kancelaryi włościańskiej i co do pokaleczonych bez jego rozporządzenia na ulicach miasteczka, to takowych zliczyć niepodobna, gdyż wiele ofiar z krzywdą tą się kryło, już to wstydząc się bicia, już to dlatego, aby nie zasiąść na ławie oskarżonych, jako uczestnicy „powstania krożańskiego“, które takim sposobem Klingenberg dla swego pana Orżewskiego umiał sam stworzyć, aby je następnie uśmierzyć.

Dodajmy jako rzecz, o której przemilczeć nie można, lecz która była dowiedzioną wobec sądu, że gdy w swojej obecności Klingenberg kazał knutować mężczyzn, jednocześnie kazał ustawić schwytane kobiety we dwa szeregi, aby przypatrywały się tej egzekucyi. Po tej egzekucyi kazał im uklęknąć i prosić o przebaczenie, a dopiero po takiej ceremonii już ich nie kazał bić, lecz do turmy odprowadzić.

Mówią ludzie, że w pewnym uniwersytecie niemieckim bywali bursze, którym, gdy piwo i alhohol resztę mózgu wysuszyło, wytresowali swe psiaki tak, że w zębach przynosiły „rózgi“, któremi następnie je bito. Jeżeli rzeczywiście kilku zbydlęconych Niemców

*) Listę ofiar krożańskich podajemy na końcu broszury— patrz objaśnienie Nr. IV.

BIBLIOTEKA NARODOWA

dopuszczało się podobnych czynów i tem samem pierwszeństwo wynalazku do nich należy — to nie podlega wątpliwości, że rzeczywisty radca stanu p. Klingenberg był pierwszym w państwie moskiewskiem, który podobny proceder do bezbronnych kobiet zastosował.

Toż i niedarmo przypadkowo obecny przy tej sprawie niemiecki baron X., właściciel majątku w sąsiedniej parafii położonego, widząc, że nikt nie podszedł do pana gubernatora Klingenberga i nie plunął mu w twarz, miał obecnym powiedzieć, że dopiero tego dnia przekonał się naocznie, że wierutnem kłamstwem są wszystkie opowiadania o duchu buntowniczym Polaków, gdyż po tem, co widział, wątpić nie może, że Polacy są narodem spokojnym, nawet bardzo spokojnym.

Ma się rozumieć, że wszystkie ofiary zostały po knutowaniu zaaresztowane i że natychmiast Orżewski powysyłał do Petersburga telegramy o tem, że bunt polski wybuchł, że nowe powstanie zostało w zarodku stłumione tylko dzięki jego energii. Jednocześnie zaczynała się na miejscu indagacya sądowa, aby przez śledztwo stwierdzić kłamstwa tego politycznego oszusta i dać jemu, to jest Orżewskiemu, sankcyę sądowego wyroku dla oszczerstwa przez niego wymyślonego na zgubę znienawidzonych przez niego Polaków.

Tym razem jednak przebrał Moskal miarę, znalazło się kilku ludzi zdeterminowanych, którzy pomimo terroru postanowili zdemaskować Orżewskiego i dołożyli wszelkich starań, nie szczędząc ani kosztów, ani czasu, ani narażenia się osobistego, aby zajście krożańskie przedstawić w świetle rzeczywistem.

Natomiast w świetle moskiewskiem cała ta sprawa przedstawia się, jak wynika ze słów aktu oskarżenia, który — chcąc uniknąć zarzutu choćby mimowol-

nej przesady — podajemy według tekstu oficyalnego, użytego za podstawę wytoczonego procesu, następująco.

II. Akt oskarżenia

był drukowany w Wilnie na 11 stronicach w drukarni Minskiera. Podzielonym jest ten akt na 5 rozdziałów i zaczyna się, po przytoczeniu zwyczajnych formalności prawnych, od opisania rozporządzeń najwyższych cara, które w sprawie krożańskiej były wydane.

Na drugiej dopiero stronie aktu oskarżenia zawarty jest opis okoliczności, towarzyszących rzekomo popełnionej przez włościan zbrodni, w formie oporu władzom moskiewskim. Dosłownie podajemy następujące ustępy:

„Dnia 8 i 9 września 1893 ks. Możejko poszedł do kościoła, aby wynieść Przenajświętszy Sakrament, lecz pomimo dwukrotnego usiłowania nie został przez lud dopuszczony do głównego ołtarza i musiał mszę odprawić przy ołtarzu bocznym. Następnie 3. października 1893 proboszcz krożański ks. Renacki, wracając z zagranicy, otrzymał od biskupa kowieńskiego ustny rozkaz, zabrać klucze kościoła i polecić ks. Możejce, aby natychmiast wyniósł Przenajświętszy Sakrament. Wskutek tego, 5. października ks. Renacki kazał ks. Możejce wynieść nazajutrz Przenajświętszy Sakrament i przez sługę swego Fr. Eljasza dał rozkaz zakrystyanowi Maciejowi Zajewskiemu, aby mu zaraz przyniósł klucze od kościoła. Zajewski jednak, nietylko że sam nie przyszedł, ale kazał ks. Renackiemu powiedzieć przez Fr. Eljasza, że jest chorym, a kluczów nie ma, gdyż zabrały je pewne kobiety.

„Nazajutrz, 6. października, ks. Możejko o godzinie 5 z rana poszedł do kościoła celem zabrania Przenaj-

świętszego Sakramentu. Żajewski wtedy mu oznajmił, że mu klucze wykradziono przed kilku dniami, a gdy Możejko zaczął pukać do drzwi kościoła, otworzyła mu je włościanka Amalia Uboczajtis, czyli Kołwajtis. Ksiądz zastał kościół pełnym ludzi, a gdy otworzył cyboryum wytrychem i wynosił Przenajświętszy Sakrament, rzuciły się na niego kobiety i mężczyźni, między innymi — jak objaśnił sam ksiądz, — włościanin Eljasz, sługa księdza Renackiego i drudzy — a między tymi szlachta Fr. i Marcyana Kłopotowscy, Helena Nowicka i Helena Jasiewicz, żona zakrystyana, z dwiema córkami, a także włościanin Roch Szyrowski.

„Z obawy, aby ci ludzie nie przewrócili Przenajświętszego Sakramentu, ksiądz postawił Go na podłodze. W tej chwili wywrócono księdza na ziemię i związano mu nogi ręcznikiem. Następnie usłyszał ksiądz, jak włościanie, którzy go za włosy targali, nazywali go Judaszem i domagali się, aby natychmiast Sakrament napowrót odniósł do ołtarza. Gdy zaś Eljasz na ten krzyk przybiegł do kościoła, szlachcic Fr. Piotrowicz wyskoczył przez okno i pobiegł do urzędnika policyjnego, aby mu donieść o tem, co się stało. Policyant Jareszew pospieszył do kościoła, zanim jednak przyszedł, włościanin Roch Szyrowski ustawił w cyboryum Przenajświętszy Sakrament napowrót.

„Gdy Jareszew, wyłamawszy boczne drzwi, do kościoła się dostał, zastał księdza Możejkę przypartego do ściany przez tłum kobiet i mężczyzn. Próbował go oswobodzić, lecz kilka osób na niego się rzuciło, grożąc deskami z wyłamanych drzwi. Widząc to policyant, w obawie poważniejszego gwałtu wyszedł z kościoła, a za nim wyskoczył także ks. Możejko bez płaszcza i czapki, z podartą sutanną.

„Na drugi dzień, 7. października, przybyli do Kroż, z rozkazu kowieńskiego gubernatora i konsystorza telszewskiego, powiatowy naczelnik policyi Wichmann, dziekan Jastrzębski i ksiądz Jawgiel. Najprzód księża Jawgiel i Jastrzębski z polecenia naczelnika policyi weszli do kościoła, aby wynieść Przenajświętszy Sakrament, lecz pomimo, że ks. Jawgiel objawił zebranym w kościele ukaz carski o tem, że kościół ma być opieczętowany, a zarazem przestrzegał obecnych, że w razie oporu będą odpowiedzialni, obecni włościanie nie dopuścili ich do ołtarza, mówiąc, że wtenczas dopiero ustąpią, gdy będą mieli odpowiedź monarchy na prośby do niego wniesione. Przytem ks. Jastrzębski zeznaje, że więcej od innych mówili pełnomocnicy włościan: Antoni Rozmin i Feliks Andrzewski. Zaczął wtedy perswadować włościanom naczelnik policyi Wichman, lecz gdy powiedział, że kościół musi być zapieczętowany wskutek ukazu najwyższego, a tem samem ostatecznego rozporządzenia, wtedy włościanin Jan Michelberg odpowiedział: „Nikogo nie wpuścimy, a Przenajświętszego Sakramentu wynieść nie damy, póki nie będzie odpowiedzi cesarza". Inni włościanie potwierdzili słowa Michelberga.

„Nazajutrz naczelnik policyi Wichmann i dziekan Jastrzębski z księdzem Jawgielem próbowali znowu wynieść Przenajświętszy Sakrament, lecz i wtedy to im się nie udało. Gdy bowiem weszli do kościoła o godzinie 10 zrana, znaleźli w kościele moc narodu, a w głównej nawie stał człowiek w białej płótniance z wielkim krzyżem w ręku, przed nim stało dwóch włościan, trzymających przez białe ręczniki portrety Najjaśniejszego Pana i Najjaśniejszej Pani.

„Po bokach masa narodu trzymała biały kawał płótna, który stanowił rodzaj zagrody od ściany do ściany przed portretami cara i carowej. Jeden ze stojących włościan śmiało powiedział po żmudzku i po rosyjsku: „Do kościoła was nie wpuścim i zapieczętować nie pozwolim“. Drudzy mu wtórowali. Naczelnik Wichmann zeznaje, że żadnej groźby ani giestów wyzywających ze strony włościan nie było, że jednak z wyrazu oczu włościan zdawało mu się, iż najmniejsza próba przekroczenia zagrody z płótna wywołałaby opór czynny. Próbował więc tylko przekonać włościan, lecz tę samą usłyszał odpowiedź, co dnia poprzedniego. Później się okazało, że owym włościaninem, który mówił w imieniu drugich, był Adolf Iwanowski, tymi zaś, którzy trzymali krzyż i portrety, byli szlachcic Kłopotowski i włościanin Roch Szyrowski“.

Dalej akt oskarżenia wymienia świadków, którzy mają potwierdzić to, co wyżej powiedziano. Następnie akt oskarżenia zawiera opisanie interwencyi osobistej rzeczywistego radcy stanu Klingenberga, gubernatora kowieńskiego. Cytujemy dosłownie ten ważny ustęp:

„Wyjeżdżając kazał kowieński gubernator zebrać się w miasteczku Krożach dnia 10go listopada dla opieczętowania kościoła siedmiu czynownikom policyjnym, 50 podoficerom policyjnym i 12 podoficerom żandarmskim. Gdy w drodze dowiedział się od miejscowego policyanta Iwaszeńcewa, że w kościele zebrało się z górą 400 włościan — gubernator zatelegrafował, aby dnia 10. listopada o godzinie 8 rano z miasteczka Wornia (powiat telszewski) przybyło 300 Kozaków. Tymczasem, gdy gubernator już przyjechał do Kroż, donieśli mu naczelnicy policyi

Iwanow i Szważew, żandarmski wachmistrz Krestników i żandarmski rotmistrz Siemionow, że chociaż w kościele jest masa narodu, jednak nastrój ich jest zupełnie pojednawczy i że osoby, zebrane w kościele, oświadczyły, że gdy gubernator przyjedzie, włościanie sami kościół zapieczętują, a gubernatora będą tylko o to prosić, aby ich prośby co do pozwolenia na odprawienia mszy w kościele choćby w pół roku po jego zamknięciu poparł".

Takim jest dosłowny ustęp aktu oskarżenia na str. 5 wydrukowany. A więc sam akt oskarżenia władz moskiewskich przyznaje, że włościanie byli bezbronni i potulni, a rozruchy zostały wywołane przez gubernatora Klingenberga. Wiemy już, że stało się to z rozmysłu dla tego, iż Orzewskiemu dla jego karyery trzeba było przelewu krwi i niby to przez niego stłumionego powstania. — Cytujemy dalej też dosłownie:

„Wskutek tego, rzeczywisty radca stanu Klingenberg, nie czekając już na Kozaków, postanowił pomówić z ludem natychmiast, i o 3-ciej w nocy udał się do kościoła.

„Z nim byli: żandarmski pułkownik Żołkiewicz, tudzież radca gubernialny Korzyn i urzędnik do osobnych poleceń Smoleński, dalej kanonik Jastrzębski, ks. Jawgiel, cała policya miasteczka Kroż i żandarmerya.

„W tym czasie, około kościoła, nie było nikogo i gubernator kazał policyi konnej obsadzić cmentarz, otoczony murem, który wokoło kościół otacza. Przy wejściu do świątyni koło drzwi zewnętrznych była masa włościan. Przed nią trzej włościanie stali, z tych jeden

w białej komży trzymał wielki krzyż z figurą Chrystusa, a dwaj inni przed nimi stojący przez białe ręczniki trzymali portrety cara i carowej, ozdobione kwiatami. Gubernator stanął i kazał włościanom rozejść się dobrowolnie, mówiąc, iż zamknięcie kościoła ma mieć miejsce z polecenia monarchy. Wtedy zaczęli włościanie prosić, aby opieczętowanie kościoła odłożono aż do czasu, gdy przyjdzie odpowiedź monarsza — na co gubernator odpowiedział, że cesarz nie raczył zwrócić uwagi na ich prośby i że dlatego zaraz musi przystąpić do zamknięcia kościoła. — Widząc zaś, że powtarzanie staje się bezskutecznem, kazał gubernator kowieński zamknąć drzwi wchodowe do kościoła. Po tem rozporządzeniu gubernatora większa część włościan wyszła z kościoła dobrowolnie, reszta zaś, przeważnie z kobiet złożona, została usuniętą z kościoła **przy pomocy nahajek**".

Usunięcie przy pomocy nahajek!!!

Temi słowami nazywa akt oskarżenia oburzające postępowanie Klingenberga, który dlatego, aby stworzyć potrzebne dla Orżewskiego „powstanie", napadł wśród nocy na bezbronnych i pokornych włościan i kazał knutować kobiety, gdy mężczyźni dobrowolnie na pierwszy jego rozkaz z kościoła wychodzić poczęli. Dalej akt oskarżenia mówi dosłownie:

„Podczas tego (tj. podczas bicia kobiet nahajkami) gubernator stanął między drzwiami kościelnemi i murem, otaczającym cmentarz i usłyszawszy groźne słowa wśród masy narodu, kazał policyjnym urzędnikom wyprowadzić **za pomocą nahajek** za mur cmentarny włościan, którzy pozostali na cmentarzu, bojąc

się oczywiście, aby włościanie nie napadli na niego z dwóch stron.

„Jak tylko policya przystąpiła do spełnienia rozkazu gubernatora (t. j. gdy zaczęła bić ludzi nahajami nietylko w kościele lecz i za kościołem na cmentarzu) dały się słyszeć z za płotu strzały i zaczęto rzucać pałkami, z których jedna trafiła w czapkę gubernatora. Lud posunął się naprzód w stronę drzwi kościelnych i ścisnął gubernatora, który kazał urjadnikom strzelać na wiatr. Wskutek wystrzałów nacisk włościan ustał, co dało możność gubernatorowi i tym, którzy z nim byli, a mianowicie radcy Korzynowi, urzędnikowi Smoleńskiemu, naczelnikowi policyi, dwom księżom i pięciu podoficerom żandarmskim, schronić się do środka kościoła i za sobą zabarykadować drzwi ławkami i konfesyonałem.

„Podczas tego policyanci z dwoma naczelnikami: Hoffmannem i Mandryką, zostali przez włościan wypchnięci za mur cmentarny, a pułkownik Żółkiewicz, rotmistrz Siemionow i czterech podoficerów żandarmskich, którym nieudało się schronić do kościoła razem z gubernatorem, przeleźli przez mur cmentarza na ulicę miasteczka i uważając, że niepodobna im pozostawać na miejscu w takiem niebezpieczeństwie, opuścili miasteczko Kroże.

„Tymczasem tłum wyłamał drzwi i przez boczne i główne wejście wtargnął do kościoła, gdzie wszyscy zebrali się koło schodów. Czynownicy z gubernatorem schronili się na schody, trzymając się platformy przejścia, prowadzącego z drugiego piętra do kościelnego poddasza, przy którem jest chór.

„Wtedy w grubiańskich wyrażeniach tłum zaczął domagać się od gubernatora, aby pan gubernator po-

kazał im papier, podpisany przez Najjaśniejszego pana, a także aby oddał swoje ordery i medale i przystąpił do spisania protokołu o tem, że „rozbójnicy wdarli się w nocy do kościoła i że postępują jak Tatarzy, Turcy i Czerkiesi".

„Przytem z tłumu rzucono kilka kamieni i grożono gubernatorowi obiciem lub przetrzymaniem go w kościele przez dni kilka.

„Jednocześnie niektórzy włościanie zaczęli bić w dzwony i w bębny kościelne. — Próbował też tłum dostać się do miejsca, gdzie stał gubernator i czynownicy, lecz wstrzymano ich od tego zamiaru tylko groźbą, że strzelać będą do każdego, który się odważy wejść na schody, a dla strachu policyanci od czasu do czasu strzelali na wiatr. Pięć godzin pozostawali czynownicy w tem położeniu, t. j. do samego przybycia Kozaków do Kroż i tylko pod koniec udało się dziekanowi Jastrzębskiemu i gubernatorowi uspokoić lud tem, iż rozpoczęto z nim rokować o spisanie protokołu. Dwóch naczelników policyi i straż konna, która była została na cmentarzu około kościoła, próbowali oswobodzić gubernatora, wypędzając tłum z kościoła, lecz atak ich został odparty strzałami, a oni sami pobici — kamieniami i kijami.

„Podczas gdy gubernator jeszcze był zamknięty w kościele, miejscowy naczelnik policyi, chcąc wysłać jednego ze swoich policyantów na spotkanie Kozaków, aby ich spieszniej sprowadzić do Króż, wyszedł z kościoła bocznemi drzwiami koło chóru. Jednakże, skoro tylko znalazł się na cmentarzu, został napadnięty przez kilku włościan, którzy zdarli z niego czapkę, szlify, szablę z temblakiem i futerał do rewolweru; próbowali także zerwać z niego palto, — grozili mu kijem, a na-

wet jeden z włościan próbował go udusić, zaciągając na szyję pętlę ze sznura, na którym wisiał futerał do rewolweru.

„Jednak podczas ataku, jaki poprowadził w tej chwili Hoffmann z konną strażą, tenże naczelnik policyi wywinął się szczęśliwie i ukrył się pomiędzy strażakami.

„Nawet gdy weszli do Kroż pierwsi Kozacy, tłum nie zaniechał swego oporu, i dopiero gdy przyszły wszystkie trzy sotnie — włościanie rozeszli się, księża wynieśli Przenajświętszy Sakrament z kościoła, zabrali inwentarz kościelny, a sam kościół został zamknięty i zapieczętowany“.*)

Dalej akt oskarżenia przytacza cały szereg zeznań świadków, stwierdzających, co wyżej napisano, przy zwyczajnych wyrażeniach i formalnościach prawnych — kończy zaś tem, iż osoby, których niżej spis dokładny podajemy, są oskarżone o zbrodnię przewidzianą przez §. 263—266 kodeksu karnego *rossyjskiego* i mają być sądzone w Izbie sądowej wileńskiej z dodaniem do sędziów koronnych przedstawicieli stanów.

III. Ewentualna kara.

Dla ludzi nieobeznanych z tajemnicami kodeksu i procedury moskiewskiej, niezbędnem jest zwrócenie uwagi na niegodziwy fortel, który był użytym przez prokuratoryę przy redagowaniu powyżej przytoczonego aktu oskarżenia. Wszystkich 71 winowajców, czyli podsądnych, oskarżenie podciągało pod jedną kategoryę, mianowicie pod artykuły od 263 do art. 267 kodeksu

*) Kościół dotąd nie został rozebrany — czy będzie oddany włościanom, nie wiadomo.

karnego, nie wzmiankując, jak tego najwyraźniej prawo wymaga, który mianowicie z oskarżonych pod jaki artykuł podpada. Pogwałcenie tej najelementarniejszej gwarancyi, którą kodeks karny pozostawia oskarżonemu, nie było bynajmniej przypadkowem, ale rozmyślnym, niejurydycznym i politycznym szantażem w najściślejszem znaczeniu tego słowa.

Mianowicie: skala kar wymierzonych przez te artykuły, które bez bliższego określenia wisiały jak miecz Damoklesa nad głową każdego z oskarżonych, rozciąga się od pozbawienia wszelkich praw i 20 lat katorgi w podziemnych kopalniach Nerczyńska do czterech miesięcy więzienia, a więc do natychmiastowego oswobodzenia, ponieważ więzienie śledcze bywa liczonem do wymiaru kary, a wszyscy podsądni siedzieli w więzieniu już przeszło pół roku. Nawet bowiem tych, których sędzia śledczy z obowiązku musiał oswobodzić, Klingenberg własnoręcznem rozporządzeniem, które jest załączone do aktów procesu, kazał był na nowo wtrącić do więzienia na podstawie „*ochrany*“ t. j. prawa dyskrecyonalnego, bez żadnych ograniczeń nadanego przez cara wszystkim gubernatorom i naczelnikom tych prowincyj, przez które car może przejeżdżać i gdzie z tego powodu bezpieczeństwo jego wszelkiemi środkami chronione być powinno.

Można więc łatwo sobie wyobrazić, jakim nietylko podszeptom, ale wprost groźbom, t. j. szantażowi ze strony nadzorców więzienia, podlegali nieszczęśliwi aresztanci, którym na niby legalnej drodze był dany wybór przez wspomnianych nadzorców: być skazanym na dwadzieścia lat katorgi, jeżeli będą mówić prawdę w sądzie, lub otrzymać natychmiastowe

oswobodzenie, jeżeli zaśpiewają podług nuty Orżewskiego.

Ażeby nas nie posądzono o czczy wymysł, przytaczamy poniżej dosłowne brzmienie wszystkich czterech artykułów, pod które oskarżonych podciągnięto.

§. 263. Za opór przeciw władzom i za przeszkadzanie w ogłaszaniu ukazów carskich lub za zmuszanie władz do czynienia czegoś, co im przez cara nie jest nakazanem, jeżeliby ten opór wydarzył się z bronią w ręku i stał się powodem gwałtów i zamieszek, winowajcy podlegają pozbawieniu wszelkich praw i zesłaniu do katorgi na lat 15 do 20.

§. 264. Jeżeli ten opór był powodem gwałtów, lub jeżeli został popełniony przez ludzi zbrojnych, gdyby nawet w tym razie do gwałtów rzeczywistych nie doszło, winowajcy będą zesłani do katorgi na lat 12 do 15.

§. 265. Jeżeli nawet gwałtów nie było, ani ludzi zbrojnych, lecz postawa opornych ludzi zmusiłaby władzę do użycia środków nadzwyczajnych dla przywrócenia porządku, to winowajcy podlegają katordze od 4 do 6 lat.

§. 266. Tym karom podlegają tylko główni winowajcy, lub — jeżeli był spisek — naczelnicy i uczestnicy jego. Inni zaś więcej winni, to znaczy ci, którzy brali udział w spisku, lub o spisku nie donosili, albo winowajców ukrywali, podlegają pozbawieniu praw i zesłaniu na Sybir na całe życie, albo oddaniu do rot aresztanckich. Najmniej winni podlegają zamknięciu w więzieniu od 4 do 8 miesięcy.

Redaktorem tego aktu oskarżenia był p. Dobrynin, towarzysz prokuratora Izby wileńskiej, który przy tej sposobności umiał, już nie jako prokurator, lecz jako służalec Orżewskiego, oddać temuż znakomitą usługę, a mianowicie, gdy wskutek nieoględnego roz-

porządzenia Izby znalazły się między papierami sędziego śledczego dwie prośby włościan krożańskich, błagające o doniesienie carowi o ich krzywdzie, znalazły się też na tych prośbach własnoręczne dopiski, robione ołówkiem ręką Orżewskiego, z których pierwszy brzmiał: „*Ostawit' bez dwiżenia*“, to znaczy schować prośbę włościan i nie posyłać jej do Petersburga, zaś na drugiej prośbie, którą byli podali włościanie, ponieważ na pierwszą żadnej nie otrzymali odpowiedzi, był drugi własnoręczny dopisek Orżewskiego: „*Otkazat' bez objasnenija priczyn*“, to znaczy odmówić bez podania przyczyn.

Otóż naiwny sędzia śledczy Ihnatiew, który zapomniał, że w Moskwie obok, a raczej nad sprawiedliwością, jest dyskrecyonalna władza tajnej policyi, spełnił formalność przez prawo przepisaną i protokolarnie skonstatował dopiski.

Widział bowiem w tych dopiskach poważny powód powątpiewania o tem, czy prośby włościan kiedykolwiek poszły do Petersburga, a więc, czy twierdzenie Orżewskiego i Klingenberga nie jest wierutnem kłamstwem.

Tem samem zachodziło pytanie, czy cała zasada oskarżenia nie jest mityczną, gdyż nie można przecie oskarżać włościan o nieposłuszeństwo dla rozporządzeń carskich, których wcale nie było.

Z tego powodu zażądał sędzia śledczy w prostocie ducha od trybunału petersburskiego, żeby dowodnie o tem przekonał się w kancelaryi cesarskiej. Gdy o tem odraportowano Orżewskiemu — powstał popłoch niepospolity i wskutek nalegania tegoż Orżewskiego, prokurator Izby wileńskiej, Koronowicz, równie jak Orżewski z popowiczów pochodzący, zażą-

dał od towarzysza prokuratora D o b r y n i n a, któremu nadzór nad śledztwem był powierzony, ażeby urzędowym aktem, który w aktach procesu się znajduje, żądaniu sędziego śledczego o dokładną wiadomość z kancelaryi carskiej o d m ó w i ł, jako niemającemu dla sprawy żadnego znaczenia.

Takim sposobem, na prośbę Orżewskiego, p. D o b r y n i n pozbawił obronę możności udowodnienia kłamstwa Orżewskiemu i Klingenbergowi, a tem samem zniweczył możność obalenia całej podstawy oskarżenia, które j e d y n i e na tem kłamstwie polegało.

IV. Sędziowie.

Wśród takich okoliczności i z takiem pogwałceniem najświętszych praw obrony, sądzić tę sprawę mieli, nie sędziowie w ścisłem tego słowa znaczeniu, lecz sędziowie przez Orżewskiego wybrani. Mianowicie sprawa przy zwyczajnych warunkach, tj. gdyby jej nie podciągnięto pod niewłaściwe artykuły prawa karnego, byłaby przydzieloną trybunałowi kowieńskiemu. Tymczasem Orżewskiemu szło o to, aby sądził nie sąd kowieński, lecz Izba wileńska sądowa, gdzie marszałkiem szlachty z ramienia rządu jest niejaki graf Plater, Polak i katolik, znany z tego, że przed 30 laty, gdy prawie cała Litwa wierzyła w powodzenie powstania narodowego 1863. r., wmięszał się był do niego, rozumie się nie z bronią w ręku, lecz jako organizator i został wtrącony z wielu innymi do więzienia wileńskiego za czasów Murawiewa. Lecz, gdy inni wychodzili z więzienia już to na szubienicę, już to do katorgi, p. Plater poszedł z więzienia wprost do gabinetu Murawiewa, z którego wyszedł marszałkiem szlachty powiatu wileńskiego z nominacyi Murawiewa. Dostał także medal za

poskromienie polskiego powstania i od lat 25 jest już nie powiatowym, lecz gubernialnym marszałkiem szlachty, mianowanym przez rząd.

Pod rządami dziesięciu generał-gubernatorów, którzy przez ten czas w Wilnie panowali, Adam Plater był zawsze uważany jako *persona gratissima* i utrzymywany powagą rządu na czele finansowych instytucyj, które jego narzucone usługi musiały więcej niż sowicie opłacać. Ma się rozumieć, że przy takiej osobistości, protestów i orzeczeń nie trzeba było się obawiać. Orżewski wiedział, że Plater dołoży wszelkich starań, ażeby sprawa męczenników krożańskich przeszła tak, jak sobie życzy p. Orżewski.

Oprócz owego hr. Platera, zasiadać miał prezydent Izby sądowej, Stodolskij, stary zawodowy sędzia, liczący z górą lat 70, z pochodzenia Polak, lecz, jak to teraz w modzie, przyznający się tylko do „małorossyjstwa". Był ten Stodolskij kiedyś prokuratorem Izby sądowej odeskiej, gdzie się odznaczył w procesach, wytaczanych nihilistom, których za czasów generał-gubernatora Todlebena tamże znaczną liczbę powieszono. Do Wilna przeznaczono go w r. 1883. Był to typ czynownika, uległego wyższym władzom administracyjnym. Wysoki, chudy, zwiędły starzec, który już niewiele słyszy, podczas rozpraw miał zwyczaj robić różne rysunki, przedstawiające niezliczone ordery, kresty i medale, które można w Rosyi otrzymać, a przed sprawą zwyczajnie kazał pisać wyrok członkowi *dokładczykowi*. Po zakończeniu sprawy krożańskiej został senatorem w Petersburgu, gdzie też zamieszkał.

Sędzią-*dokładczykiem*, to jest tym, który sprawę przedstawia, był Jewreinow, który od r. 1883 jest członkiem Izby sądu wileńskiego. Jestto szlachcic rosyj-

ski, pilny i skrupulatny sędzia; uchodzi za surowego lecz prawego, i on to nadał wyrokowi formy prawne i ton sprawiedliwy. Dowiódł swojem zachowaniem, że Orżewski nie wszystkich przecież potrafił zterroryzować, gdyż on, nawet w Wilnie, stawiał nad nalegania władzy obowiązek własnego sumienia.

Sędzia przedstawiciel stanu mieszczańskiego Gołubinow, głowa miasta Wilna, był kiedyś nauczycielem prywatnym, potem dyrektorem szkoły realnej. Jako popowicz, przywiązany był do Orżewskiego, a także i za to, że przez niego mianowany był prezydentem miasta pomimo, że przy wyborach otrzymał większość hr. Antoni Tyszkiewicz. Gołubinow jest człowiekiem ograniczonym, a w obec władzy uniżonym bez granic.

Oprócz tych panów, zasiadło dwóch sędziów koronnych, których w ostatniej chwili prezes Stodolskij naznaczył, a mianowicie: Niekludow i Kobeko. Obaj porządni, lecz szablonowi sędziowie; pierwszy z nich należy do starego szlachckiego rodu moskiewskiego, od paruset lat w pskowskiej gubernii osiadłego, drugi zaś Kobeko pochodzi z polskiej szlachty oddawna zruszczałej. Zasiadł dalej jeden chłop, wójt gminy micuńskiej nazwiskiem Dunowski, wystraszony, zgłupiały z osłupienia, a na wszystko odpowiadający „słuszajuss“ t. j. wedle rozkazu. Wybrany był losem, stosownie bowiem do rozporządzenia obecnego cara, sąd przysięgłych, gdy tego wymaga władza administracyjna, składają: marszałek gubernialny szlachty, prezydent miasta (czyli gołowa) i jeden wójt włościański, którego los wyznaczy.

V. Świadkowie.

Świadkowie, których poniżej podajemy listę, tem się odznaczali, że na ich czele stał Klingenberg,

kowieński gubernator, który sam bić kazał i był bitym — jak mówią świadkowie — po twarzy, a jak mówił sam pan gubernator, po czapce, dalej 37 urzędników policyjnych, którzy wszyscy bili i płazowali kobiety i starców.

A więc nie można było bezstronności oczekiwać od ludzi, którzy dla uniewinnienia własnych postępków kłamać musieli. To też między tymi świadkami każdy musiał wynajdywać oznaki buntu ze strony katowanych włościan, gdyż inaczej odegraliby sami świadkowie rolę najzwyczajniejszych opryszków. Jednak ani Orżewski, ani prezes Izby sądowej tego przyznać nie chcieli i rozumie się, iż obwiniali nie bijących, lecz bitych, to jest uważali za winnych owieczki, ponieważ śmiały stawić opór wilkom.

Dalej było powołanych jako świadków 5 oficerów żandarmskich i 7 podoficerów, a resztą byli włościanie i księża, których świadectwo mogło się ograniczać na znanem i tradycyonalnem „nie widziałem“ i „nie pamiętam“.

VI. Oskarżeni.

Oskarżonymi byli, jak już wyżej powiedziano, przeważnie włościanie, mówiący tylko po żmudzku, których więc trzeba było badać przez tłómaczy, tudzież trochę drobnej miejscowej szlachty, mało różniącej się od włościan, lecz która mówiąc po polsku, rozumiała także trochę po rosyjsku.

Dwudziestu z nich odpowiadało z wolnej stopy, pięćdziesięciu z więzienia śledczego wileńskiego, gdzie zostali przeniesieni z różnych więzień i gdzie znajdowali się pod specyalnym nadzorem księcia Galicyna, ogólnego nadzorcy wszystkich więzień litewskich.

VII. Ogólny charakter procesu.

Znającemu miejscowe stosunki, w oczy biła najprzód anomalia, która wyglądała na gorzką ironię losu. Oto oskarżeni o polski bunt, którzy dla karyery Orżewskiego byli bici knutami i prawdopodobnie mieli pójść na Sybir, ani słowa po polsku nie umieli, o Polsce nigdy nic nie słyszeli, gdyż byli prostymi ludźmi i Żmudzinami bez żadnego wykształcenia. Przeciwnie obrusicielami i ciemiężcami-sędziami byli przeważnie Polacy, lub ludzie polskiego pochodzenia, a co najmniej z Polakami blisko spokrewnieni. I tak generał-gubenator Orżewski jest wnukiem księdza unickiego, a więc Polaka; Stodolskij, prezes Izby sądowej, jest pochodzenia polskiego; Plater jest Polakiem, katolikiem; Klingenberg żonaty z Polką, byłą żoną Brzozowskiego Michała, obywatela z gubernii mińskiej, ongi dobrze znanego w kołach arystokratycznych miasta Warszawy, dziś kilkakrotnie skazanego z pozbawieniem wszelkich praw do katorżnych robót za różne oszustwa i otrucie wspólników swych zbrodni, a który zamiast odbywania katorgi w Syberyi, został przyjęty do tajnej politycznej policyi moskiewskiej i w Moskwie, a często i za granicą służy jej pod rozmaitemi nazwiskami. Z sędziów i Kobeko jest także pochodzenia polskiego. Nakoniec książę Galicyn, naczelnik więzień, w których osadzono męczenników krożańskich, jako potomek Gedyminów, pieczętuje się pogonią litewską i jest żonaty z Polką Warszawianką.

VIII. Proces.

Gdy nakoniec po nieskończenie długiem śledztwie, naznaczonym był dzień sądu i cała Litwa czekała ostatniego aktu, tak długo ciągnącego się dramatu, przybyli wszyscy obrońcy z Warszawy, z Petersburga i Moskwy.

Razem obrońców siedmiu. Ósmym miał być adwokat z Warszawy Pepłowski. Oświadczył on jednak, że przybyć nie chce*).

Rozprawa miała być jawną; w ostatniej jednak chwili przyszło rozporządzenie z Petersburga, aby cała rozprawa odbyła się tajnie, aby jej nie nadawano rozgłosu i starano się jak najprędzej zakończyć. Rozporządzenie było podpisane przez towarzysza ministra sprawiedliwości Butowicza, rzeczywistego tajnego radcę. Opiewało ono jak następuje:

„Na podstawie 1 punktu art. 622 kodeksu procedury karnej, a więc dla ochronienia powagi władzy państwowej *(ochranienia dostojenstwa gasudarstwennoj własti)* — zamknąć drzwi sali posiedzeń przez cały czas rozprawy“ — a więc aż do ogłoszenia wyroku.

Takim sposobem została odjęta możność dziennikom rosyjskim drukowania choćby jednego słowa o tej całej sprawie i dwaj główni winowajcy: Orżewski z Klingenbergiem wyobrazili sobie, iż mogą być zupełnie spokojni, że nic oficyalnego o ich postępowaniu do publiczności rosyjskiej drogą gazet nie dojdzie. Rozporządzenie powyższe, którego żaden z sędziów wileńskich się nie spodziewał, wywołało ogromne wrażenie i niezadowolenie nawet w towarzystwie rosyjskiem w Wilnie. Korespondentom dzienników rossyjskich, którzy od wigilii znajdowali się w Wilnie, prezes sądu, Stodolskij, był wydał bilety na osobne miejsca w sali pod warunkiem, iż nic drukować nie będą, póki po przeczytaniu przez

*) O adwokacie Pepłowskim notatka na końcu broszury; patrz objaśnienie V.

niego ich rękopisów nie dostaną od niego pozwolenia, w obec jednak tak niespodziewanego rozporządzenia władzy musiał te bilety wycofać i korespondentom wejścia do sali posiedzeń wzbronić.

Między korespondentami była jedna dama *z Moskowskich Wiedomosti*. Jednak, skoro jej ministeryalne rozporządzenie urzędownie do wiadomości było podane, wyjechała wraz z innymi.

Przygnębienie, wywołane przez to nowe bezprawie, było nie do wypowiedzenia, — i w oczy biło wśród ponurych i tak już okrutnie zgnębionych Litwinów.

Cała stolica Litwy o niczem innem nie mówiła, jak tylko o procesie krożańskim — naturalnie po cichu, tajemniczo; na ucho jeden drugiemu opowiadał jakiś nowy szczegół z procesu, który zdołał się wydobyć z poza zamkniętych i silnie strzeżonych drzwi Izby sądowej. Na twarzach Polaków widać było przygnębienie. Na postawione, choćby najdyskretniej pytanie, każdy obracał się w koło, czy nie ma w pobliżu szpiega, a następnie uściskał tylko rękę, czasem coś szepnął i szedł dalej, nie zatrzymując się długo na jednem miejscu, bo tutaj szpieg gonił szpiega.

To też rojno było u stóp Matki Boskiej Ostrobramskiej. Od wczesnego rana do nocy cała ulica przed kaplicą i cudownym obrazem zajętą była przez tłumy modlących się. Mężczyźni, kobiety i dzieci klęczęli pod gołem niebem, na kamiennym bruku, ze łzami w oczach zanosząc do Maryi skargi swe i żale. Tych tłumów policya nie miała odwagi rozpędzać, bano się nowego zajścia krwawego. Zresztą Matka Boska Ostrobramska jest też i przez Moskali uważaną za cudowną i czczoną na równi z własnemi cerkwiami. Matka Boska Ostrobramska to jedyna tutaj ucieczka, jedyny ratunek. Przed

nią uciskany i gnębiony Litwin żalić się przychodzi i w modlitwie czerpie siły do wytrwania w zasadach i wierze.

Oprócz świadków wezwanych przez oskarżyciela, obrona wezwała była jeszcze **103**, tak iż liczba wszystkich świadków wynosiła **181.**

Już kilka godzin przed naznaczoną godziną publiczność zaczęła się zbierać przed gmachem, do którego z samego rana przyprowadzono oskarżonych.

Naprzeciw kościoła katedralnego stoi wielkich rozmiarów gmach sprawiedliwości, tak zwana *sudebna pałata.* Między kościołem a sądem ciągnie się duży plac katedralny, który został zajęty przez tłumy ciekawej publiczności. Od czasu do czasu policyanci rozpędzali tłumy, niebawem jednak gromadziły się nowe. w milczeniu oczekując od wczesnego rana, do późnej nocy wyroku, jaki wydanym miał być za dni kilka na tych, którzy mieli odwagę „na kolanach błagać carskich czynowników, aby im nie zabierano kościoła".

Na dole w bramie gmachu sądowego każdy wchodzący musiał się wylegitymować, kim jest i jaka sprawa powoływała go do środka. Na pierwszem piętrze dopiero była sala rozpraw. Duża, wysoka na dwa piętra, 16 okien wpuszcza światło do wnętrza. Z jednej dłuższej strony sali znajduje się troje drzwi, temi wchodzą sędziowie, obrońcy, publiczność i świadkowie. Po stronie przeciwnej jedne drzwi prowadzą do ubikacyj sądowych, w których tymczasowo przetrzymują oskarżonych. Ściany białe.

Z jednej strony sali w głębi stał wielkich rozmiarów stół od ściany do ściany, na całą szerokość izby, to stół sędziowski. Stał on nieco na podwyższeniu tak,

iż sędziowie całą salę wygodnie widzieć mogli. Gdy trybunał zajmywał miejsca, miał po prawej stronie prokuratora, t. zw. towarzysza prokuratora, po lewej niższych urzędników sądowych ku pomocy. Przed tym stołem sędziowskim znajduje się mała baryera. Tutaj stali świadkowie. Po lewej i prawej stronie ku środkowi pod ścianami sali stoi ośm ław, na nich siedzieli oskarżeni. Po środku stół duży dla obrońców, a obok niego mały stolik dla tak zwanego *sudebnego prystawa*, który w Izbie sądowej ma głos stanowczy. Jest to właściwie najstarszy woźny, ale w tem państwie czynowników taki woźny sądowy ma wielkie znaczenie i władzę w obec publiczności większą, aniżeli inny — nie mówiąc naturalnie o sędziach i prokuratorach.

Ten *sudebnyj prystaw* naznaczał każdemu w sali miejsce, on pozwalał wchodzić i wychodzić podczas rozpraw jawnych; podczas tajnych pilnował, aby niepowołany nie zjawił się nikt w sali, gdyby się komu udało przejść straże więzienne na dole i na górze. Ten sam *prystaw* przywoływał świadków i wyprowadzał ich, on miał pod swoją opieką *corpora delicti*. W procesie krożańskim strzegł jednej pałki, którą miano bić czynowników i płótna, któremi wzbraniano wejścia do kościoła. *Sudebnyj prystaw* wołał głośno: *proszę wstać, bo sąd idzie*, gdy słyszał kroki nadchodzących sędziów. Gdy ci zajęli miejsca, *prystaw* wołał: *siadać*. W ogólności w Rosyi wszyscy wstają, ile razy sąd nadchodzi lub wychodzi z sali na przerwę lub naradę.

Nad stołem sędziów wisiał wielki, naturalnej wielkości portret cara Aleksandra III., w postawie stojącej, w mundurze.

Drugą połowę sali zajmowały ławki i krzesła dla świadków przesłuchanych i publiczności.

W sądzie nie wolno było nikomu ani jednego słowa powiedzieć po polsku.

Cała rozprawa krożańska odbywała się, jak to już wiemy, najzupełniej tajnie, przy zamkniętych drzwiach. Do sali rozpraw oprócz sędziów, oskarżonych i obrońców nikogo nie wpuszczano. Nie wolno było nikomu jednego zanotować słowa. Do rozkazu ściśle się zastosowano. Sam Orżewski, generał-gubernator wileński, doglądał tego. Siedział on na rozprawie od rana do późnej nocy, słuchał z natężeniem każdego słowa — i swoją obecnością wywierał wpływ na sędziów — naturalnie na niekorzyść biednego ludu litewskiego, oskarżonego o opór władzy.

Wyrzucono nawet z sali urzędników sądowych, którzy zawsze wstęp mają dozwolony, nawet wyprowadzono popa prawosławnego, który odbierał przysięgi od świadków.

Przedstawicielem szlachty miał być Adam Plater, ale ponieważ nie przybył, więc go zastąpił Leontiew, były towarzysz prokuratora. Postępował on z oskarżonymi gorzej aniżeli sam prokurator; Orżewski — który tuż za nim siedział, poddawał mu na kartkach różne pytania, które Leontiew następnie zadawał obwinionym. Pan Leontiew miał nadzieję, że na barkach męczenników wyjedzie na gubernatorstwo. Obok niego zasiadał *gołowa* miasta i jeden włościanin. Ci musieli tak głosować, jak im Orżewski kazał — zresztą byli to ludzie tak dalece ograniczeni, iż nic nie rozumieli, a litości i ludzkości próżnobyś w nich szukał. Za tym całym sztabem sądowym, tuż z tyłu na środku, pod portretem cara siedział sam Orzewski. Wzrok jego policyjny, suchy, żandarmski. Żadne słowo, ruch jeden w sali nie uszedł jego uwagi. Patrzał na mdlejące ko-

biety, na płacze obwinionych — nie wzruszył go nawet widok jednego konającego w sali między obwinionymi.

Najboleśniejszą częścią obrazu byli oskarżeni. Siedzieli w sali na ośmiu ławach — razem obok siebie kobiety, mężczyźni, dzieci i dziewczęta, szlachta zagonowa i chłopi. Jak okropnie wyglądali, opisać ani opowiedzieć nie można. Zbici, zgnębieni, z zapadłemi oczyma, które błyszczały gorączką, — w ubraniach po największej części więziennych, a więc szarych grubych, niezgrabnych. Oprócz kilku obwinionych, lepiej nieco wyglądających, reszta, to było skóra tylko i kości. Każdy z nich żółty, znędzniały, skąsany plugastwem więziennem — podobni byli do poruszających się trupów. Było ich 69. Powinno było być 71, lecz jeden poszedł na sąd Boga — umarł. Jeden był śmiertelnie chory. Większość była w więzieniu od listopada zeszłego roku — więc jedenaście miesięcy, inni siedzieli po pięć, dopiero bowiem później na rozkaz Orżewskiego ich zaaresztowano.

Był między nimi szesnastoletni zbrodniarz — nic nie rozumiał i naturalnie nie wiedział, za co i dlaczego siedział w więzieniu rok cały; były dziewczęta od lat 19 do dwudziestu kilku. Jedne z nich przyznawały się otwarcie do tego, iż je Kozacy zgwałcili, niektóre wstydząc się, powiadały, że się nie dały, że Bóg im dodał sił oprzeć się, pomimo, że były w niesłychany sposób przez Kozaków dręczone. Jedna n. p. mówiła, że ją różaniec, którym się zasłaniała i jakiś żandarm obronił przed pastwiącym się Kozakiem. Dalej były kobiety stare w podeszłym wieku. Była jedna dziewczyna, może ma lat 20, która kilka razy dziennie mdlała w sali rozpraw. Gdy upadała, przybiegał jej na ratunek woźny sądowy, brał do ust wody i pryskał nieszczęśliwej na twarz,

a następnie brał ją na ręce i wynosił na korytarz, kładł na ziemi, polewał wodą, cucił i gdy wróciła do przytomności — wprowadzał napowrót do sali, aby znowu po jakimś czasie powtórzyła się ta sama, co poprzednio scena.

Inny może 30-letni mężczyzna nabawił się w więzieniu suchot. Do sali i z sali prowadzono go pod ręce, chwiał się i sam nie zaszedłby bez pomocy. W sali leżał na ramieniu swego towarzysza, kaszlał nieustannie, cały w gorączce gruźlicznej, która go trawiła. Mówić zupełnie już nie mógł; twarz mu się wydłużyła i zapadła; osłupiałym wzrokiem wodził do koła. Z pod szarego płaszcza więziennego sterczały wychudłe kości. Tak był osłabionym, że nie miał sił o wodę prosić. Gdy się kto domyślił i podał mu szklankę — wypijał do dna i tylko wzrokiem dziwnie rzewnym dziękował za tę przysługę. Długo bowiem nie pociągnął. W i e c z o r e m d o s t a ł w s a l i w y b u c h u k r w i i padł na ziemię. Wszyscy w sali się poruszyli, obrońcy z pomocą mu pobiegli — tylko świetny trybunał siedział jak z kamienia. Wniesiono do sali nosze, położono na nie biedaka i wynieśli go na korytarz gmachu. Między oskarżonymi znajdował się brat jego; pozwolono mu udać się do chorego. Ukląkł przy nim i tylko łzami się zalał. Suchotnik ten także siedział rok w więzieniu bez przyczyny. Zabrano go gwałtem, nikt o nim nic nie wiedział, żaden żandarm nawet na niego nie wskazał, jakoby go widział w kościele lub pod kościołem, to też zmarł po wyroku, który uznał jego niewinność.

Oskarżonych pędzili codzień dwa razy przez ulice Wilna z jednej strony miasta na drugą, z więzienia do sądu — *sudebnoj pałaty*, osobno mężczyzn, osobno kobiety. W gromadę zebrani, otoczeni żołnierzami,

którzy w ręku obnażone trzymali pałasze, wlekli się zwolna, noga za nogą — rano około 9-tej do sądu — wracając z powrotem z rozprawy między 10 a 11 w nocy. Dzień w dzień powtarzało się to samo. Między obwinionymi znajdowało się wielu chorych, osłabionych, wycieńczonych — tych prowadzili towarzysze niedoli, wskazując drogę jednemu starcowi — zupełnie ciemnemu — spokojni, cisi, potulni. Litewski spokój połączył się z rezygnacyą — jakkolwiek z drugiej strony większość oskarżonych wiedziała za jaką cierpi sprawę i ta świadomość dodawała im sił. Byli przygotowani na wszystko. Taką musiała być rezygnacya męczenników pierwszych wieków chrześcijaństwa.

Krótko mówiąc, widok tych oskarżonych męczenników, nad któremi jeszcze w sądzie pastwił się obwieszony moskiewskiemi orderami Orżewski, był tak nieskończenie żałośnym i takie u każdego Polaka wywoływał uczucie, że wolimy opowiadanie tego, co się na tym sądzie działo, zostawić osobie bezstronnej, a mianowicie jednemu z obrońców rosyjskich, którzy przed trybunałem wileńskim bronili męczenników krożańskich. Opowiadanie rozpoczyna się od chwili przybycia obrońców do Wilna.

Sprawozdanie niniejsze jest pracą zbyt poważną i zbyt wielkie będzie miało historyczne znaczenie, ażebyśmy nie starali się unikać nawet nieuzasadnionego zarzutu przesady. Dla tego też podajemy opowiadanie adwokata rosyjskiego w dosłownem tłómaczeniu, uzupełniając go tylko niekiedy własnemi uwagami i przytoczeniem faktów. Opowiadanie jest następujące:

„Gdyśmy przyjechali do Wilna, najpierw udaliśmy się do turmy na Antokolu, w której uwięzieni byli sami mężczyźni. W ogromnym, dawnym pałacu Słuszków,

bezpośrednio nad samą Wilią zbudowanym, znaleźliśmy na dziedzińcu, otoczonym bardzo wysokim, starym ostrokołem, ze 60 aresztantów w szarych siermięgach i typowych czapkach aresztanckich, którzy śpiewali pieśń narodową Burłaków Nadwołgskich „*Wniż po matuszkie, po Wołgie*“ (w dół po Wołdze, matce ziemi russkiej). Gdyśmy się zbliżyli, z pewnem zdziwieniem słysząc narodową pieśń rosyjską w ustach włościan katolików-Żmudzinów, podszedł do nas *smotrytiel* czyli nadzorca turmy, siwy staruszek i oświadczył, że nie są to oskarżeni krożańscy, czyli jak się wyraził, nie polscy aresztanci. „Ci — mówił — mieszczą się w osobnej sali, śpiewają tylko pobożne pieśni i to zawsze z książki. To zupełnie inny naród — dodał, prowadząc nas do nich — żadnego z nimi nie mam kłopotu od czasu jak są tutaj“. Niebawem znaleźliśmy się wśród więźniów krożańskich. *Smotrytiel* zakomenderował, aby stanęli szeregiem i powiedział im, że jesteśmy ich obrońcami i że dlatego powinni odpowiadać na nasze pytania.

„Uderzyły nas przestraszone, bolesne miny aresztantów; w milczeniu słuchali i oczywiście wierzyć nie chcieli, że my Rosyanie przyjechaliśmy ich bronić. Chociaż każdy z nas powtarzał, że nie jesteśmy ani agentami policyi, ani przysłani od sędziego śledczego i że rozpytujemy się o szczegóły, ażeby skuteczniej bronić ich wobec sądu, milczeli, lub odpowiadali półsłówkami. Dopiero, kiedy jednemu z nas udało się wyprosić za drzwi p. *smotrytiela* — przyznali się więźniowie, że obawiali się w razie szczerości nowego bicia nahajami. Pomimo tego nie mało trzeba było czasu, pomocy kolegów naszych, adwokatów wileńskich i przemówień ich to po żmudzku to znowu po polsku, aby przekonać nakoniec oskarżonych, że we własnym ich leży

interesie powiedzieć nam całą prawdą. Tak wielką była bojaźń tych nieszczęśliwych przed władzą administracyjną i obawa nowych pałek.

„Dopiero częściowo i powoli dowiedzieliśmy się o szczegółach egzekucyi i knutowaniu drobnej szlachty, włościan i kobiet, które z rozkazu Klingenberga miało miejsce przed i po przybyciu Kozaków do Kroż. W ten sposob uwiadomieni o prawdziwym przebiegu gwałtów, mogliśmy zebrać materyał, który nam później posłużył do badania jako świadka tegoż gubernatora kowieńskiego Klingenberga, głównego sprawcy całego niby to buntu. Przekonaliśmy się na przykład, że podczas egzekucyi, która miała miejsce w zarządzie gminnym w obecności gubernatora Klingenberga i jego urzędników — nazajutrz po zamknięciu kościoła i krwawem rozpędzeniu włościan nahajami — tenże sam Klingenberg kazał mężczyzn i kobiet, ustawić we dwa szeregi, ażeby przypatrywali się egzekucyi.

„Sama zaś egzekucya odbywała się w sposób następujący: Ofiary rozbierano do naga, kładziono na ławę i gdy urzędnicy policyi trzymali ich za głowy, za ręce i nogi, Kozacy bili nahajami. Klingenberg zaś sam liczył razy i śmiejąc się, zapytywał od czasu do czasu: A co? Teraz uznajecie gubernatora? Czy może wam jeszcze potrzeba dowodów, że ja jestem gubernatorem?

„Dowiedzieliśmy się już wtedy, że już nie mało było zbitych ofiar, gdy wpadł do zarządu gminnego towarzysz prokuratora sądu kowieńskiego Uljaninow i po gwałtownem przemówieniu się z gubernatorem Klingenbergiem — chwycił za ręce 16 letniego chłopaka, Trakszelisa, którego już rozbierano do egzekucyi i miano knutować za to, że uderzył w bębny kościelne wówczas,

gdy Klingenberg ze swoimi uciekał przed pięściami włościan na chór kościelny, aby się zabarykadować.

„Nie mogliśmy się jednak dowiedzieć dokładnie, jak długa trwała egzekucya i ile ludzi bito, gdyż wszyscy zeznawali, że wśród jęku bitych, w śmiertelnym przestrachu tych, których jeszcze bić miano, wśród krzyku Kozaków, w małej dusznej sali zarządu gminnego, gdzie się odbywała egzekucya, obecni zupełnie potracili głowy i byli w stanie takiego przerażenia, że kilku omdlałych dla ocucenia Kozacy wyrzucili przez okna, ażeby pozostali na dworze Kozacy oblewali ich wodą. Większość obecnych, w szczególności drobna szlachta nie chciała nawet mówić o biciu nahajami, czy to ze wstydu, czy to z widocznego strachu, że znowu ponowioną będzie egzekucya, jeżeli całą powiedzą prawdę.

„Wszyscy jednomyślnie to tylko zeznali, że tam było istne piekło, że egzekucya trwała kilka godzin, a skończyła się dopiero wówczas, gdy wyszedł z sali zarządu gminnego towarzysz prokuratora, trzymając za rękę malca Trakszelisa. Wtedy dopiero gubernator Klingenberg kazał wszystkim paść na kolana, przepraszać siebie, a następnie wyprowadzić kobiety, a po nich mężczyzn.

„Na dworze trzymano ich dłuższy czas w otoczeniu policyantów. Mężczyzn odprowadzono następnie i zamknięto w gumnie bliskiej osady włościańskiej. Tam policyanci Klingenberga rozpoznawali, który z nich był w kościele, a który nie był. Kobiety tymczasem otoczyły jeszcze na ulicy roje Kozaków, bijąc pięściami i nahajkami i naigrawając się wśród ohydnych i trudnych do opisania scen. Ciągle przytem powtarzali: młode dla Kozaków, a stare dla psów, (mołodyje Kaza-

kam, a staryje sabakam) — policyanci zaś dodawali, śmiejąc się, że mają na to sposoby, aby od kobiet dowiedzieć się czego zechcą i mieć dokładne wiadomości o spisku i o spiskowcach.

„Bardzo nam było trudno – mówią dalej obrońcy rosyjscy — wytłómaczyć tym nieszczęśliwym i tak srodze sterroryzowanym ofiarom, że przecież nie każdy Rosyanin jest na to, aby knutował, więził, lub hańbił i że naszym jest obowiązkiem ich niewinność przed sądem wykazać, powtórzenie podobnych gwałtów uniemożliwić i dlatego nam trzeba od nich wiedzieć całą prawdę.

„Stamtąd wyjechaliśmy do turmy czyli więzienia kobiecego, która znajduje się blisko stacyi kolei żelaznej, w górnej części miasta. Opowiadania kobiet, które wydawały się nam być jeszcze więcej wystraszonemi, aniżeli mężczyźni, potwierdziły w najdrobniejszch szczegółach to, cośmy już słyszeli z ust mężczyzn w turmie Antokolskiej — szczegóły zaś gwałcenia i hańbienia, którego ofiarą niektóre z nich padły, nie nadają się do opisu.

„Musimy przyznać, że głęboko wzruszyła nas prostota i naiwność tych kobiet, które nie mogąc pojąć, pomimo naszych tłómaczeń, czem jest sąd i czem są granice jego władzy — szlochając zaklinały nas, ażebyśmy, cokolwiekby się stać miało, przedewszystkiem ocalili ich kościół, ażeby, jak mówiły, „krew i łzy niewinnych nie poszły na marne“.

„Wzruszeni do głębi — co łatwiej odgadnąć, aniżeli opisać, wróciliśmy do hotelu; tam dowiedzieliśmy się, że generał-gubernator Orżewski otrzymał od ministra Murawiewa rozkaz, aby sprawa toczyła się przy zamkniętych drzwiach, a więc bez możebności publikowania czegokolwiek o przebiegu sprawy i z wyklu-

czeniem stenografów, których niektórzy z nas ze sobą przywieźli — i następnie do Petersburga i Moskwy odesłać musieli. Dowiedzieliśmy się zatem, że nietylko aż do ogłoszenia wyroku cenzura nie pozwoli choćby najdrobniejszego szczegółu w gazetach o sprawie krożańskiej wydrukować, ale nawet, że nie będzie pozwolona wzmianka, że proces się ma toczyć przy drzwiach zamkniętych.

„Staraliśmy się możliwie dobrze do obrony przygotować, lecz z drugiej strony administracya, a więc generał-gubernator Orżewski i gubernator Klingenberg porobili wszelkie możliwe kroki, aby sprawę zdusić między czterema ścianami Izby sądowej — i jakikolwiek byłby wyrok sędziów, ocalić przynajmniej choćby własną swoją sławę, czynownikowską i ludzką, którą nagromadzony materyał śledczy i zeznania świadków tak ciężko miały skompromitować.

„Nie podlegało już żadnej wątpliwości:

1) że akt oskarżenia polegał całkowicie na rozmyślnem i tendencyjnem przekręcaniu faktów, czyli mówiąc po prostu na wierutnem kłamstwie;

2) że ze strony włościan żadnego buntu, żadnego sprzeciwiania się władzom, ani najmniejszego cienia oporu przeciw ukazom carskim nie było i być nie mogło. Że nieporządki, które miały miejsce w kościele, zostały wywołane jedynie oburzeniem, które owładnęło i musiało owładnąć włościanami, gdy ni stąd, ni zowąd gubernator Klingenberg bez żadnej logicznej przyczyny kazał bić nahajami żony, siostry i matki oskarzonych.

3) nakoniec nie podlegało żadnej wątpliwości, że dla władzy administracyjnej kraju północno-zachodniego, to jest dla generał-gubernatora Orżewskiego, były nietylko pożądane, ale wprost potrzebne, jeżeli nie rozru-

chy, to przynajmniej pozory rozruchów, gdyż mając możebność i wszelkie środki, a poniekąd i obowiązek, jeśliby był uczciwym człowiekiem, drobny parafialny spór załatwić w sposób cichy i pokojowy, on pomimo tego, wszystko, co tylko mógł, robił na to, ażeby nieporozumienie rozjątrzyć do ostatnich granic, wywołać niby bunt i chełpić się w Petersburgu stłumieniem takowego.

„Po wspólnej naradzie postanowiliśmy należytem wyzyskaniem aktów śledztwa i badaniem świadków w sali sądowej w sposób jasny i niezbity dowieść dwa pierwsze punkty, a nawet i trzeci, gdyby nam nie stawało na przeszkodzie ze strony przewodniczącego ciągłe i systematyczne przerywanie lub niedopuszczanie pytań w tym kierunku zadawanych. Prezes bowiem Stodolskij, o ile nam prywatnie było wiadomem, chociaż nie źle był usposobiony dla oskarżonych, postanowił jednak święcie wypełnić dany mu rozkaz z ministerstwa i pod żadnym pozorem nie chciał pozwolić na zbyt jawne skompromitowanie władzy administracyjnej w osobach Orżewskiego i Klingenberga. Umówiliśmy się między sobą, że koledzy nasi — adwokaci wileńscy, do narodowości polskiej należący — wcale głosu nie zabiorą, gdyż ich zadanie w takim razie byłoby zbyt trudne. Żyjąc pod nieustającym uciskiem zmuszeni byliby wypowiadać w sposób delikatny wszystko to, co po nich musielibyśmy poprawiać w sposób więcej prawdziwy, a więc drastyczny. Z Polaków miał mówić tylko jeden i to pierwszym obrońca Kamiński z Warszawy. Drugi miał mówić Andrejewskij, po nim Żukowskij, obaj z Petersburga, następnie Biały, adwokat wileński, lecz do narodowości rosyjskiej należący, po nich książę Urusów z Moskwy, ostatni miał prze-

mawiać weteran adwokatury rosyjskiej, dawny szermierz obrony w sławnych procesach politycznych ostatniego panowania, stary, lecz jeszcze pełen zapału Turczaninow.

„Gdyśmy weszli do sali posiedzeń — opowiadają dalej obrońcy rosyjscy — uderzył nas ogólny wygląd oskarżonych, których pomieszczono z dwóch stron stołu sędziowskiego na wysokich, szarych ławkach. Chociaż widzieliśmy ich dwa dni przedtem w więzieniu, znowu dotknął nas i zdziwił wyraz nędzy i znękania, który mieli wszyscy na twarzy — starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni. Posadzono ich bez żadnego porządku logicznego, nie wedle kategoryj przestępstw, o które byli oskarżeni — a tylko podług numerów, które im nadano w akcie oskarżenia.

„Najważniejszym świadkiem, na zeznania którego największe nadzieje pokładała prokuratorya w akcie oskarżenia, mianowicie kowieński gubernator Klingenberg, był właśnie ten świadek, na którego my też jako obrońcy najwięcej liczyliśmy, będąc pewni, że podczas kilkugodzinnego badania, bez którego puścić ekscelencyi nie chcieliśmy, prawda wyjdzie na wierzch jak szydło z worka i umożebni nam wykazanie niewinności naszych klientów.

„I rzeczywiście. Chociaż Klingenberg, jako dawny towarzysz prokuratora sądu okręgowego wileńskiego, a następnie policmajster w temże samem mieście, był szczwanym na wszystkie strony lisem, pomimo tego, że całemi miesiącami do sprawy się przygotowywał i przygotował wszystkich swoich podwładnych, świadomy tego, że ta sprawa rozstrzygnie o dalszych losach jego karyery — pomimo tego wszystkiego prawda zwyciężyła i chyba nigdy nikomu tak sromotnie na

sądzie nie zostały dowiedzione kłamstwa i obłuda, jak panu gubernatorowi Klingenbergowi.

„I tak. Z samego początku Klingenberg starał się wmówić w sędziów, że opór włościan był skutkiem spisku buntowniczego o charakterze polskim dawno przygotowanego i rozgałęzionego po całej Żmudzi. Mówił, że mu to doskonale było wiadomem nietylko z raportów policyi, ale także z licznych konfiskowanych numerów wychodzącej za granicą *Gazety Żmudzkiej*, która raz po raz wzywała parafian krożańskich, ażeby murem stanęli w obronie świątyni i własnych piersi nadstawiali, byle tylko do niej nie wpuścić „Moskali".

„Tymczasem przyparty do muru kategorycznemi pytaniami naszemi, nie mógł Klingenberg wskazać, od którego z podwładnych policyantów miał powyższe raporty, ani też kiedy otrzymał numera tej sławnej *Gazety Żmudzkiej*, ani nawet nie umiał powiedzieć, jak się ta buntownicza gazeta nazywa. Tem pierwszem w oczy bijącem kłamstwem scharakteryzował obłudę całego swojego postępowania.

„Dalej zapytany Klingenberg, dlaczego twierdził przed włościanami, że cesarz już był dał odpowiedź odmowną na wszystkie prośby przez nich wniesione, wtenczas, kiedy on sam Klingenberg nie mógł nie wiedzieć nietylko prywatnie, ale z urzędu, że na ostatnie prośby włościan krożańskich wcale dotąd odpowiedzi nie było — p. gubernator okropnie się zmieszał, z początku nie chciał dać żadnej odpowiedzi, a zmuszony pytaniami, po cichu, jąkając się, oświadczył, że tylko tem może wytłómaczyć „nieporozumienie", iż mówiąc do włościan, miał na myśli tylko takie prośby, które przechodziły przez jego osobistą kancelaryę, a o innych na razie zapomniał. Co się zaś tyczy kwestyi, dlaczego

ukaz carski o zamknięciu kościoła (pomimo kardynalnego prawa państwowego rosyjskiego, nakazującego, aby podobne ukazy były wykonywane natychmiast), został przez p. gubernatora wykonywany dopiero po upływie $2^1/_2$ lat, nie można było od Klingenberga dostać żadnego wyjaśnienia.

„Również niewyjaśnioną została poruszona przez obronę sprawa, dlaczego Klingenberg, otrzymawszy od Orżewskiego nowy ukaz carski o zburzeniu kościoła krożańskiego i rozebraniu go na cegły, uważał za stosowne zamiast tego rozbierać do naga, nie kościół, lecz włościan i oddawać ich pod nahaje Kozaków, podczas gdy sama świątynia, pomimo ukazu carskiego, stoi dotąd nietkniętą. Dlaczego i z czyjego rozkazu tak nielegalne było postępowanie Klingenberga, zostało pomimo naszych pytań tajemnicą między nim a Orżewskim.

„W dalszym ciągu Klingenberg, ciągle utrzymując, że włościanie dali początek rozruchom, a nie jego rozkaz, aby bito nahajami kobiety, twierdził, że zanim wydał taki rozkaz, usłyszał wystrzał z fuzyi starego systemu. Zapytany jakim sposobem mógł wiedzieć, że strzelali włościanie, a nie „urjadnicy“ i że strzelano mianowicie z fuzyi „starego systemu“, plątał się, jąkał i nakoniec musiał przyznać, że właściwie nie wie, kto i gdzie strzelał, tylko wnosić musi z huku wystrzału, że ktoś niedaleko strzelił ze starej fuzyi, której jednak nie znaleziono. Tak wysoko rozwinięty u pana gubernatora zmysł muzykalny, umożliwiający mu nawet wśród krzyków, hałasu i bójki na kułaki, rozpoznać odcienie huku wystrzałów, wywołał śmiechy nawet za stołem sędziów.

„Przyparty następnie pytaniami, zeznał, że dwukrotnie dał głośno rozkaz, aby bito nahajami je-

szcze przed przybyciem Kozaków, a mianowicie raz, kiedy po wyjściu mężczyzn z kościoła zostały w nim tylko same kobiety, drugi raz pod kościołem, gdy mężczyźni wychodzili za płot i za mur, kościół otaczający. Pytany, jakim sposobem może utrzymywać, że tak gwałtowne zarządzenie nie było pierwszym i jedynym powodem oporu włościan, nie znalazł innej odpowiedzi, jak tylko komiczne twierdzenie, że nie nahajki wywołały opór ludu, a przeciwnie opór włościan wywołał nahajki.

„Pytany dalej, dlaczego kazał bić bez potrzeby, odpowiedział, że uczynił to z mocy, nadanej mu przez władzę wyższą, nie chciał jednak powiedzieć, kto jest tą wyższą władzą, Orżewski, czy minister?

„Wyznać też musiał, pomimo ciągłego przerywania prezesa Stodolskiego, który wszelkiemi sposobami starał się ratować Klingenberga, że ani w chatach, ani przy włościanach, gdy ich rozbierano do egzekucyi, żadnej broni nie znaleziono, a nareszcie — i to zrobiło stanowczy przełom w przekonaniu sędziów — przyparty naszemi pytaniami Klingenberg zeznał, że świadkowie z policyi, których do sądu przyprowadził, są tymi samymi ludźmi, którzy w Krożach, podczas egzekucyi kozackiej trzymali obnażonych włościach za ręce i nogi z jego rozporządzenia, a bez jego — jak twierdzi — rozporządzenia, bili kobiety pięściami i znęcali się nad niemi w sposób trudny do opisania.

„I w tej to chwili — to jest w chwili, gdy sam przyznał, że przyprowadzeni przez niego świadkowie są też i jego zwyczajnymi siepaczami, zdawało się nam, że nastąpiła zmiana w opinii sędziów, co nawet stwierdził epizod, jedyny w swoim rodzaju i niesłychany w procedurze rosyjskiej, a mianowicie, gdy je-

den z nas prosił o zapisanie do protokołu dosłownego zeznania Klingenberga, odnoszącego się do bicia kobiet, cośmy sobie dobrze na papierze zanotowali — prokurator Dobrynin zerwał się ze swego miejsca i zwracając się do sądu, zaprotestował, że nigdy nic podobnego gubernator Klingenberg nie powiedział. Nastąpiła chwila ogólnego zdumienia i milczenia, i dopiero senior nasz Turczaninow, po krótkiej między nami naradzie, wstał, podszedł do baryery i cichym, lecz stanowczym głosem powiedział, że obrońcy proszą, aby wobec takiego protestu prokuratora, który zapomina nietylko to, co sam słyszał w tej chwili, ale i to, co sam własnoręcznie napisał w akcie oskarżenia (gdzie stwierdzonem jest dwukrotne bicie nahajkami z rozkazu Klingenberga), wysoki trybunał stwierdził osobną uchwałą, że słowa gubernatora Klingenberga o biciu kobiet nahajami zostały wniesione przez obronę do protokołu zgodnie z rzeczywistością.

„Prezes oczywiście zirytowany i wzburzony, przerwał posiedzenie, sędziowie udali się do sali narad, podczas gdy prokurator czerwony i naperzony, spiesznie opuścił salę sądową. Zirytowanie generał-gubernatora Orżewskiego, który siedział za sędziami tuż pod portretem cara, było niemniej widoczne i jeszcze się spotęgowało, gdy po krótkiej naradzie trybunał wrócił do sali posiedzeń i prezes oświadczył, że na żądanie przedstawicieli obrony, słowa Klingenberga o biciu kobiet nahajami zostały zapisane w protokole, zupełnie zgodnie z rzeczywistością. Mieliśmy takim sposobem dowód, a jednocześnie i radość dla serc naszych rosyjskich, że pomimo niesłychanego nacisku administracyi, sędziowie nie stracili poczucia obowiązku, a więc, że potrafią — o ile surowe prawodawstwo na-

sze na to pozwala — wydać wyrok przychylny dla niewinnych, a tak srogo katowanych ofiar krożańskich.

„Po stanowczej przewadze takim sposobem odniesionej nad Klingenbergiem i widocznym zwrocie w opinii sędziów w kierunku dla podsądnych pomyślnym, zdawało się być rzeczą nietrudną załatwić się z innymi świadkami ze świata oficyalnego.

„Do tych, rozumie się, nie zaliczaliśmy urzędników policyjnych przez Klingenberga przyprowadzonych, wiedząc, że ci na pamięć wyuczyli się tego, co powiedzieć mieli, a nic innego powiedziećby nie mogli.

„Zapomnieliśmy jednak o terroryźmie, wywieranym przez gen. Orżewskiego, który ciągle siedząc w sali, nie spuszczał z oczu świadków, będących w służbie rządowej, a nawet główniejszych z nich zaraz po ich przybyciu do Wilna, w wigilię dnia rozpoczęcia rozprawy, miał wzywać do siebie.

„Litość brała, patrząc na nieśmiałość i jąkanie się tych ludzi, którzy w obec złożonej tylko co przysięgi, kłamać nie chcieli, a prawdy powiedzieć nie śmieli.

„Pierwszym był pułkownik żandarmów Żółkiewicz, ten sam, który z kapitanem Siemionowem i kilku podoficerami żandarmskimi, gdy włościanie krożańscy zaczęli turbować Klingenberga i jego czynowników, tak energicznie oddalał się od miejsca zaburzeń, że przeskoczywszy przez płot, pędził wśród nocy przez wiorst 12 i dopiero znalazłszy w tej odległości konie, pojechał do następnej stacyi kolei żelaznej, skąd na wszystkie strony roztelegrafował o tem, co się stało.

„Trudno było wymagać odwagi cywilnej od takiego zucha, toż, gdy przekonaliśmy się, że chociaż w kościele stał pułkownik obok gubernatora, nie słyszał dawanych rozkazów, nie wiedział, kiedy zaczęto bić i na

wszystko odpowiadał, że nie może dokładnie pamiętać, co się działo w takiem zamięszaniu, przestaliśmy go badać i sąd pozwolił mu opuścić salę posiedzeń.

„Nastąpiło przesłuchanie kapitana żandarmów Semionowa. Ten już nietylko litość, ale i złość w nas wzbudził swojem zachowaniem i zapoznaniem wszelkiej godności osobistej, oczywiście z powodu obecności Orżewskiego. Przypominał postawą i głosem zachowanie się żaka, bojącego się chłosty i tonem płaczliwym starał się osłabić znaczenie i doniosłość zeznania, które sam własnoręcznie napisał w śledztwie, a które, musieliśmy, widząc jego trwogę, kilkakrotnie mu przypomnieć.

„Pragnął niemal wyrzec się szlachetnego czynu, o którym zresztą wszyscy wiedzieli, a mianowicie, iż broniąc 80-letniej staruszki, sam dostał nahajem od siepaczy Klingenberga; teraz zaś tłómaczył w sądzie, że chciał tylko podjąć staruszkę, którą powalono na ziemię, a nie bronić jej przed rozporządzeniem władzy i że w tym ruchu nagiętym sam nie wie, skąd i od kogo dostał bizunami. Nakoniec posunął się tak daleko, że powiedział, iż zeznanie, pisane jego własną ręką u sędziego śledczego, on Siemionów pisał nie ze wspomnień osobistych, a tylko, jak się wyraził, „z nasłuchania“, aż któryś z nas przerwał mu, pytając, czy bizuny poczuł na swych plecach też z nasłuchania, czy może choć to jedno z doświadczenia osobistego. Na tem przerwaliśmy jego badanie, widząc, że nic od niego dowiedzieć się nie będziemy mogli.

„Po Semionowie nastąpiło przesłuchanie Kożyna; mężczyzna to średniego wieku, o tatarskiech rysach i nader tępym wyrazie twarzy. Mając przed sobą Orżewskiego, a z tyłu za sobą swego zwierzchnika Klingenberga, którego jest czynownikiem do osobnych zle-

ceń, tak mówił ogólnikowo, tak starannie unikał nazwania czegokolwiek lub kogokolwiek po imieniu, że, gdy chcąc, ażeby potwierdził, iż był świadkiem obecnym w kościele wtedy, gdy jak to powiedziano w akcie oskarżenia, „wypędzano kobiety zapomocą nahajów", jeden z nas zadał mu wprost zapytanie: niechże pan Kożyn powie, jakim sposobem kobiety były wypędzane? -- ów klasyczny Kożyn drżącym głosem odpowiedział: wypędzone zostały za pomocą wypędzenia *(udalenyj były putiom udalenja)* — i wśród ogólnych uśmiechów szyderczych powrócił na swoje miejsce. Oświadczyliśmy bowiem, że dalej takiego świadka nie potrzebujemy.

„Następnie badano Smoleńskiego; ten okazał się drugim Kożynem, tylko w formie spotęgowanej; mówił jak lokaj złowiony na psocie, ktory się wykłamuje. Po kilku minutach badania, puściliśmy go także.

„Za to ciekawe były zeznania byłego urzędnika policyjnego w Krożach, Wichmanna; zjawił się już w mundurze inspekcyi więziennej, gdyż wskutek wydalenia go ze służby przez Klingenberga po zajściu w Krożach, przeszedł do służby w głębi Rosyi w Woroneżu.

„Wichmann w spósób jasny, dobitny i nie podlegający najmniejszej wątpliwości zeznał, że gdy Klingenberg wpadł ze swymi urzędnikami o trzeciej godzinie w nocy do kościoła, absolutnie nikogo nie było poza murami kościelnemi, że wszystko było zupełnie spokojne i ciche, że na rozkaz Klingenberga włościanie poczęli się rozchodzić i byliby się rozeszli wszyscy spokojnie, gdyby ni stąd ni zowąd Klingenberg nie kazał bić nahajami kobiet. Dodał, że dopiero na krzyki i jęki kobiet wrócili mężczyźni do kościoła i broniąc je, po-

turbowali kułakami urzędników Klingenberga i jego samego.

„Zeznanie tego świadka, który z wielką objektywnością i jasnością opowiadał całe zajście, wywarło takie wrażenie na sędziach, że jeden z nich, a mianowicie Leontiew, marszałek powiatowy szlachty wileńskiej, od rządu naznaczony, zasiadający w sądzie jako zastępca hr. Platera, który taki sam urząd piastuje od rządu w gubernii, starał się przerwać wątek zeznania Wichmanna i zbić go z tropu różnemi pytaniami. Spodziewał się, że osłabi niemi znaczenie i wrażenie świadectwa Wichmanna. Na swoje nieszczęście Leontiew, który uniżonością bez granic wobec generał-gubernatora i wysługiwaniem się mu kosztem własnego sumienia i godności, jest zupełnie godnym Platera zastępcą, nie posiada jednak wytrawnego doświadczenia platerowskiego w służeniu generał-gubernatorskim interesom — własnemi pytaniami, jak się to mówi pospolicie, zasypał się okrutnie, a tem samem nam pomógł. On to pytając, jak się jemu zdawało bardzo mądrze, a w rzeczywistości wielce nieostrożnie, co Wichmann uważa, że powinien byłby gubernator w danym razie zrobić, wywołał odpowiedź, która jak policzek padła na głowę siedzącego z tyłu Klingenberga, a mianowicie:

„Ja myślę, że nie trzeba było Jego Ekscelencyi panu gubernatorowi mówić włościanom nieprawdy o ukazie Jego Cesarskiej Mości, nie trzeba było w nocy wpadać do kościoła z garstką urzędników wtenczas, gdy Jego Ekscelencyę czekano podług oficyalnych wiadomości o 10 rano, a gdy już pan gubernator ten błąd popełnił i przekonał się, że naród go nie uważa za gubernatora, ale za złodzieja, zdaje mi się, że wypadało wyjść z kościoła i czekać w kancelaryi włościańskiej

na przybycie siły zbrojnej, nie dając rozkazu, aby tymczasem bito kobiety nahajami."

„Po takiej odpowiedzi świadka Wichmanna, Leontiew już więcej pytań nie stawiał; badaliśmy już tylko my jedni. I dowiedzieliśmy się, że w przeciągu półtora roku, Wichmanna, który jednak spełniał najwyższy urząd policyjski w powiecie, gubernator Klingenberg ani razu nie wzywał, żadnego objaśnienia ani o Krożach, ani o kościele, ani o nastroju ludności nigdy od niego nie zażądał, a na jego ustny raport owej nocy pamiętnej w Krożach nie zwrócił żadnej uwagi.

„Dowiedzieliśmy się też, że w sprawie kościoła krożańskiego przez cały ten długi czas Wichmann otrzymał od gubernatora Klingenberga tylko jeden papier tak dwuznacznie i niejasno zredagowany, że wcale nie zrozumiał, czego od niego mianowicie żądano.

„Dalej Wichmann zeznał, że był przez 10 lat w służbie w tym powiecie na stanowisku isprawnika, to jest naczelnika miejscowej policyi, że chociaż dobrze mówi po żmudzku, o artykułach podburzających *Gazety Żmudzkiej*, którym pan Klingenberg przypisuje rozdrażnienie włościan, nigdy nic nie słyszał i że nigdy żadnych objawów polskiego fanatyzmu, o który uporczywie dopytywał się poprzednio p. Leontiew, nie zauważył. Przeciwnie oświadczył, że nawet dostał od włościan dość znaczną sumę na postawienie pamiątkowej kaplicy w Borkach, gdzie przed pięciu laty nastąpiło rozbicie pociągu carskiego koło Charkowa, że więc sądzi, iż o nielojalność względem tronu posądzać włościan krożańskich nie można.

„Po Wichmannie zeznawał Hoffmann, prystaw, tj. ucząstkowy naczelnik policyi, podwładny poprzedniego świadka Wichmanna. Opowiadano między publicznością

o nim, że w wigilię był wzywany do Orżewskiego, który miał mu oświadczyć, iż obiecany mu awans i dobre świadectwo dla otrzymania drugiej korzystniejszej posady w innej gubernii, otrzyma dopiero po ukończeniu sprawy krożańskiej i po wysłuchaniu przez gen. Orżewskiego świadectwa, które on (Hoffmann) złoży w sali sądowej. Zmuszony takim sposobem śpiewać podług muzyki Orżewskiego, upił się Moskal „urzędownie“ i zjawił się w sali sądowej w takim stanie, iż z początku myślano, że przezes każe go wyprowadzić. Stało się jednak inaczej i gdy rozgadał się podochocony prystaw, dowiedzieliśmy się od niego, nie bez odcienia przechwałki, że podczas kiedy Klingenberg siedział w kościele na chórze i nie mógł zejść z obawy przed pieściami rozjuszonych chłopów, on (Hoffmann) mając ze sobą 14 konnych policjantów, uzbrojonych w szable, rewolwery i knuty, uważał za stosowne wykonać szarżę z tą swoję kawaleryą na tłum włościan. Policjanci więc, rozpędziwszy konie, wpadali na tłumy włościan, którzy rozstępowali się wprawdzie przed nimi, ale przytem sowicie częstowali kijami i kamieniami. Podobne szarże odbywały się kilkanaście razy w przeciągu 4 godzin, aż do nadejścia Kozaków. Moi ludzie i ich konie — mówił Hoffmann — byli zmęczeni prawie na śmierć. Wprawdzie potratowano nie mało chłopów, ale i moi ludzie i ich konie mocno byli zbici kijami; wprawdzie włościanie nie strzelali, lecz nazajutrz znalazłem na tem miejscu 6 rewolwerów.

„Gdy któryś z nas zapytał go, co zrobił z temi rewolwerami i dlaczego ich niema w procesie, zmięszał się okrutnie pan prystaw i oznajmił, że wprawdzie podjął owe 6 rewolwerów i dał je komuś w zarządzie

gminnym, a żałuje tylko, że sobie przypomnąć nie może, jak się ten ktoś nazywa.

„Wywiązało się ciekawe badanie w sprawie tych rewolwerów; pokazało się, że chociaż Hoffmann z początku mówił, że sam znalazł rewolwery, to w końcu zeznał, iż tylko o nich słyszał, lecz pomimo tego jest mocno przekonanym, że rewolwery były. Lecz nakoniec prezydujący trybunału Stodolskij, zniecierpliwiony zawołał: „dość o tych rewolwerach“ — i pijanego Hoffmanna kazał woźnemu wyprowadzić.

„Badanie Hoffmanna jednak miało tę dodatnią stronę, że utwierdziło fakt, iż podobnie jak Klingenberg kazał bić nahajami kobiety bez żadnej przyczyny, tak też bez najmniejszego powodu jego podwładny Hoffmann tratował mężczyzn kopytami końskiemi.

„Badano następnie księdza Renackiego, który wśród ogólnej ciszy zeznał, iż stojąc obok gubernatora Klingenberga, słyszał, jak już po rozpędzeniu włościan i przybyciu Kozaków do Króż, ów Klingenberg dwukrotnie krzyknął do swoich policyantów: Aresztować wszystkich katolików w Krożach, oprócz stratowanych i rannych; więcej nie strzelać, ale za to sypać knutami ile wlezie.

„Tu mu zaczął przerywać prezydujący Stodolskij, utrzymując, że nie wolno mówić o tem, co miało miejsce w Krożach po przybyciu Kozaków, gdyż to do sprawy się nie odnosi i że nie może pozwolić na to, aby sąd nad oskarżonymi zamieniono na sąd nad administracyą.

„Zaprotestowaliśmy wszyscy, a najstarszy z nas p. Turczaninow wniósł do protokołu protest motywowany, zwracając uwagę sądu, że jeżeli tak będzie ograniczanem prawo obrony, to „ani my bronić, ani sę-

dziowie sądzić podług prawa nie mogliby, gdyż uniemożliwienie dowodzenia i rozpatrywania warunków, w których zostali aresztowani podsądni, zabronienie dowodu, że ich aresztowano na chybił trafił, jest niczem innem, jak odjęciem obronie możności wykazania tego, iż jej klienci najzupełniej niewinni i że całe oskarżenie o bunt właściwie na niczem spoczywa". W skutek tego prosił p. Turczaninow, aby Izba sądowa ten nasz kolektywny protest wzięła pod uwagę.

„Nastąpiła przerwa w posiedzeniu; sąd udał się do sali narad, a my do sali adwokackiej. Wnet jednak poprzedzony woźnym zjawił się między nami sam p. Stodolskij z oznajmieniem, że zaszło pożałowania godne nieporozumienie i że chociaż on, jako prezes, nie chciałby w niczem przeszkadzać nam we właściwej obronie naszych klientów, jednak nie może nietylko już jako prezes, ale jeszcze więcej jako patryota rosyjski pozwolić, aby wywlekano przed kratą sądową takie rzeczy, jak postępowanie Klingenberga i szczegóły zarządzonej przez niego egzekucyi. „O wszystkiem mówcie, panowie, tylko nie o egzekucyi i nie o nahajkach: o wszystkiem innem, gdy wrócim do sali posiedzeń, wam mówić pozwolę".

„Myśmy się jednak na to nie zgodzili i dopiero po wspólnej naradzie stanęło na tem, że prezes Stodolskij sam publicznie oświadczy, iż badanie przerwał jedynie wskutek nieporozumienia. Tak się też stało. Lecz gdy Stodolskij dodał, że co do osądzenia działalności administracyi on zakaz swój utrzymuje w sile, znowu powstał Turczaninow i głośno powiedział:

„Co do administracyi oczywiście milczeć będziemy, gdyż nad nią będzie sąd inny, a jeżeliby nawet takiego

nie było, to będzie sąd historyi, przed którym nie ujdzie potępienia.

„Uważaliśmy że te słowa mocno się nie podobały p. Orżewskiemu, który wstał, wyszedł z sali posiedzeń i dopiero za parę godzin wrócił napowrót.

„Z innych mniej ważnych świadków, najwięcej nas wzruszył ks. Jawgiel i opowiadanie jego o tem, jak podczas bójki schował się we framudze koło konfesyonału i tam w ukryciu kilka godzin, umierając ze strachu, czekał końca tych scen piekielnych. Dopiero, gdy wszystko ucichło i gdy Klingenberg po nadejściu swoich Kozaków opuścił kościół, ksiądz Jawgiel ostrożnie wysunął się z ukrycia i wszedł do środka świątyni. Kościół, w owej chwili wyglądał jak pobojowisko. Ławki połamane, chorągwie kościelne porozrzucane, a wśród tego chaosu tu i ówdzie leżeli ranni, krwią brocząc. Przy jarzących się jeszcze świecach na ołtarzu, zobaczył ksiądz, że kilkanaście starych kobiet schroniło się koło ołtarza i klęcząc, a niektóre krzyżem leżąc, modliły się po cichu. Gdy się do nich zbliżał, nagle wpadło do kościoła czterech urzędników policyjnych z nahajkami i zaczęli bić i katować te kobiety. Powalone na ziemię deptali nogami i dopiero, gdy nadszedł żandarm, wyszli *urjadnicy*, t. j. podkomendni policjancyi Klingenberga, a za nimi ks. Jawgiel.

„Gdy skończono badać świadków, prezydent oznajmił, że przerywa rozprawę na jeden dzień, aby dać czas i możność tak prokuratorowi, jak i nam obrońcom, należycie do mów się przygotować.

Wszystko, co dotąd drukowaliśmy, było strzeszczeniem opowiadań obrońców rosyjskich, którzy mówiąc pod świeżem wrażeniem tylko co przeprowadzo-

nego procesu i przeżytych wrażeń, opisywali je barwnie i z dokładnością niemal stenografowanego protokołu.

Przystępujemy teraz do streszczenia wygłoszonych mów, a mianowicie mowy prokuratora, t. j. oskarzenia i mów sześciu obrońców.

Pierwszy zabrał głos, jak prawo tego wymaga, p. Dobrynin towarzysz prokuratora. Trudna była jego rola i wcale nie do pozazdroszczenia po tem wszystkiem, co nastąpiło poprzednio i po ostatecznem wyjaśnieniu rzeczywistego postępowania administracyi z jednej strony, a włościan z drugiej. Administracya, jak się pokazało, nad tem pracowała, ażeby zwyczajny i wcale nie gwałtowny opór pokrzywdzonych materyalnie i moralnie włościan, rozdmuchać do rozmiarów buntu, tak pożądanego dla intryg generała Orżewskiego, a biedni, potulni i ciemni włościanie wszystko znosili i znieść chcieli, a dopiero za kije chwycili wtedy, gdy bez żadnej pryczyny Klingenberg zaczął w ich oczach knutować ich matki, żony i siostry.

Mówiono sobie wtedy w Wilnie, że roli oskarzyciela w tym procesie kilku z młodszych i zdolniejszych towarzyszy prokuratora, przewidując, co z tego stać się może, przyjąć nie chciało i że prokurator Izby sądowej Karonowicz, widząc, że już koniecznie któryś z jego podwładnych będzie musiał paść ofiarą takiej roli, wybrał z nich wszystkich najmniej zdolnego, ażeby drugich nie kompromitować. Czy tak rzeczywiście było, rozumie się, orzec trudno, lecz zachowanie się pana Dobrynina było tego rodzaju, że wyżej przytoczone domysły stają się prawdopodobnemi.

W mowie swej p. towarzysz prokuratora powtórzył właściwie tylko akt oskarżenia, nadzwyczaj mało korzystając z materyału nagromadzonego podczas bada-

nia świadków w rozprawie, a czasami nawet zupełnie ignorując takowy. Spełniał przykry obowiązek na niego włożony. Najprzykrzejszą chyba częścią jego zadania był ustęp jego mowy, którym pod presyą Orżewskiego starał się wmówić w sędziów, że opór ciemnych i wcale po polsku nie umiejących Żmudzinów jest jednak czysto polską intrygą, jednym z objawów wielkiego spisku polskiego, rozgałęzionego po całej Litwie i Żmudzi.

Z uśmiechem słuchali sędziowie, a jeszcze więcej obrońcy, owej z góry nakazanej elukubracyi. Gdy Dobrynin skończył mówić o polskiej intrydze, zaczął po krótkim odpoczynku czytać notatki, myląc się i przepraszając za omyłki; brał jednę kartkę zamiast drugiej, to znowu szukał dalszego ciągu w nagromadzonych przed nim papierach — jednem słowem, byłby wysoce komicznym i operetkowym oskarżycielem, gdyby komizm mógł egzystować w sprawie, gdzie chodziło o wolność tylu ludzi i za którą tyle krwi i tyle łez już było wylanych.

Wreszcie po długich wywodach doszedł p. Dobrynin do wniosku, że właściwie był uknuty spisek, mający na celu zabicie w Kownie pana Klingenberga, chociaż ani o spisku, ani o zabijaniu Klingenberga, ani o jakiejbądź działalności włościan w Kownie dotąd nikt nie wspomniał ani jednem słowem. Ironiczne śmiechy powitały ten wynalazek p. prokuratora.

Nakoniec po przeszło trzygodzinnem mówieniu, jąkaniu i czytaniu, zgarnął w kupę wszystkie swoje papiery i papierki i usiadł zadowolony, że skończył swoją niewdzięczną robotę, a może i zadowolony z tego, iż prawie nikt nie słuchał jego frazesów, wygłaszanych pod naciskiem Orżewskiego.

Zaczęły się mowy obrońców. Najpierw przemawiał Kamiński, adwokat z Warszawy, Polak. Pierwsze zaraz słowo obrońcy nie podobały się przewodniczącemu. P. Kamiński zaczął swoją mowę od modlitwy do Boga i do Najświętszej Panny. Zaraz też mu ją przerwał przewodniczący dość cierpką uwagą, że modlić się mogą oskarzeni, lecz ich obrońca jako prawnik powinien mówić do rzeczy. Świetnie na to odpowiedzia obrońca, że chciał wezwaniem do Najwyższego odwrócić od tej świętej sprawy wpływy złych ludzi. I chociaż nie wymienił nikogo po nazwisku, wszystkich spojrzenia razem zwróciły się ku obecnemu Orżewskiemu, który to zauważył i zaczął ze złością rzucać się na swojem miejscu i wąsy targać to jedną to drugą ręką ku wielkiemu zadowoleniu obecnych, iż wziął tę aluzyę do siebie. Lecz prezydujący przerwał p. Kamińskiemu powtórnie, wzywając go by mówił o samej sprawie.

Wtedy zaczął dowodzić mowca, że jeden z punktów oskarżenia, a mianowicie obraza księdza Możejki podczas spełniania przez niego obowiązków służby duchownej, oparty jest na fakcie, który nigdy nie miał miejsca. Sam ks. Możejko był moralnie jednej myśli ze swoimi parafianami i czuł tak jak oni. Gdy kazano mu wynieść Przenajświętszy Sakrament z ołtarza, musiał słuchać i wypełnić bolesny obowiązek, ale nietylko, że nie czuł się obrażonym tem, iż kobiety krożańskie przeszkodziły mu w powziętym zamiarze, związując jego nogi białą chustą płócienną, ale rad był, iż takim sposobem uniknął spełnienia czynu, który był mu nakazany przeciwko jego własnemu sumieniu. Dalej, przechodząc do oporu przeciwko Klingenbergowi, pan Kamiński udowadniał, że i tutaj żadnego oporu w rzeczywistości wcale nie było. Gubernator

Klingenberg przemawiał w imieniu cara, a w imieniu tegoż samego cara błagał go naród, aby z zamknięciem kościoła się wstrzymał. Wreszcie zapytał mowca: czyż odwołanie się do władzy carskiej jest grzechem: przecież nas sama Ewangielia św. poucza, iż św. Paweł, gdy go chciano kamienować, odwołał się do cesarza rzymskiego, podnosząc, że jest *civis Romanus*, tj. obywatel pełnoprawny rzymski, a wtenczas prokonsul go wysłuchał i kazał jego prośbę przedstawić cesarzowi. Dlaczegóż więc p. Klingenberg postąpił inaczej?

Na tem zakończył pan Kamiński swoją mowę, którą przewodniczący jeszcze kilka razy przerywał, a w szczególności wtedy, gdy p. Kamiński kilkakrotnie próbował przytaczać różne ustępy z historyi miasta Kroż, fundacyi jego kościołów, fundatorów i inne podobne szczegóły, niemające bezpośredniego związku z oskarżeniem o bunt.

W ogóle mowa pana Kamińskiego, która była piękna i wzniosła, nie wywarła na izbę sądową należytego wrażenia głównie z tego powodu, że pan Kamiński, jak to bywa w Warszawie, zbytecznie się bawił w ton i zwroty teatralne, a sądom rosyjskim, przywykłym do wielkiej prostoty, taki sposób bronienia jest nieznanym i niemiłym.

Po przemowie Kamińskiego, wszystkich oczy zwróciły się na Andrejewskiego, wszystkim było bowiem wiadomem, że Andrejewski posiada wybitny oratorski talent. Lękaliśmy się nieco, aby nie ograniczył się na wygłoszeniu pięknych zwrotów i frazesów, które zwyczajnie zadowalają samego mowcę, ale rzadko kiedy pomagają oskarżonym, a chyba nigdy nie działają na sędziów rosyjskich.

Stało się jednak inaczej. Mowa p. Andrejewskiego trafiła w sam węzeł gordyjski, wskazała bowiem jedyny możliwy wyrok przy istniejącem prawodawstwie rosyjskiem, które w kodeksie procedury kryminalnej nakazuje sędziom w razie, jeżeliby ścisłe zastosowanie litery prawa miało się rozmijać z uczuciem sprawiedliwości, to jest z celem ostatecznym każdego sądu, w samym wyroku polecić skazanych łasce monarchy z oznaczeniem obok kary, którą ustanawia prawo państwowe, tej drugiej kary, często o wiele mniejszej, a często żadnej, którą dyktuje sumienie.

Tak, jak nikt nie potrafi opisać piórem dźwięków muzyki i oddać słowami wrażenia, jakie na słuchaczach wywiera głos wielkiego artysty, tak też trudno streścić mowę p. Andrejewskiego, wygłoszoną w sprawie krożańskiej. Powiemy tylko, że zagrał jak mistrz na tej strunie, która zawsze niechybnie najgłębiej porusza serce każdego Moskala, tj. na wielkości, potędze i miłosierdziu wszechmogącego cara. Dla nas Polaków, synów Zachodu, których nieubłagalna wyrocznia dziejowa poddała pod jarzmo tego wielkiego i dla nas tak niepojętego narodu, najwięcej niepojętem i niezrozumiałem jest to uczucie, które każdy Moskal od najciemniejszego chłopa do najbardziej wykształconego członka arystokracyi rodowej czy też duchowej zawsze i wszędzie żywi dla cara. Uczucie to nie stosuje się wcale do panującego w danym razie Mikołaja czy Pawła, lecz do cara w ogóle, tj. do tego abstrakcyjnego pojęcia wszech-potęgi ludzkiej na ziemi, do tego „ziemskiego Boga“, jak oni go nazywają, który dla nich jest uosobieniem abstrakcyjnem — a jednak zawsze obecnem — tego wszystkiego dobrego, co może być w jestestwie monarchy o władzy bez granic.

stępnie wszyscy rzucili się do oskarżonych i niebawem cały tłum, płacząc i szlochając, jedną kilkutysięczną ławą, niosąc raczej, niż towarzysząc oskarżonym, przez Wielką ulicę udał się do Ostrej Bramy i tam na kolanach przed wizerunkiem Najświętszej Panny cudownej płakał i modlił się długo. Otucha wstąpiła w serca Litwinów i nadzieja, iż jeszcze kiedyś w ojczyźnie Mickiewicza i Kościuszki nastaną przecież takie czasy, kiedy katolik i Polak będzie uważanym za człowieka i praw ludzkich mu nie odmówią.

Taki był epilog pamiętnej sprawy krożańskiej, w której jedną stroną byli ubodzy, ciemni i uwięzieni włościanie, z malutką garstką obywateli, którzy ich bronić postanowili, a drugą była władza, uzbrojona potęga autokratyzmu moskiewskiego, rozporządzająca siłą brutalną, knutami, szpiegami, zsyłką, więzieniem, Syberyą. Jednak ona pokonaną została, dlatego jedynie, że nad wszelkie spodziewanie spotkała przed sobą sąd sprawiedliwy.

Wyrok Izby sądowej wileńskiej w sprawie krożańskiej, wydany dnia 11. października, brzmiał:

Według ukazu Jego cesarskiej Mości, departament do spraw karnych Izby sądowej wileńskiej, na publicznem posiedzeniu, w składzie następującym: starszy prezes A. A. Stodolskij; członkowie Izby: W. M. Nekludow, P. T. Kobeko, M. A. Jewreinów, towarzysz prokuratora P. P. Dobrynin, sekretarz P. E. Matwiejew; przedstawiciele stanów: w zastępstwie gubernialnego, wileński marszałek powiatowy szlachty J. S. Leontiew, wileński burmistrz *(gołowa)* K. A. Gołobinow, starszyzna

włości micuńskiej J. Dunowski, wysłuchawszy sprawy o szlachcie: Franciszku Kłopotowskim, Franciszce Jurjewiczowej, Franciszku Lubowiczu, Józefie Sawnorze, Janie Markiewiczu i innych oskarżonych o przekroczenia przewidziane paragrafami 263—266 ustawy karnej, postanowił:

1) podsądnego szlachcica Jana Markiewicza, lat 32; wysłużonego szeregowca stanu włościańskiego Józefa Brazłowskiego lat 40; włościan Jana Rymkisa, lat 39 i Jakóba Żutowta, lat 38, pozbawić wszystkich praw stanu i wysłać do ciężkich robót (katorgi) na lat 10 z następstwami, przewidzianemi artykułem 25 ustawy karnej;

2) szlachtę: Franciszka Petrowicza, lat 57, Józefa Jezierskiego, lat 45 i Józefa Rymgajło, lat 30, pozbawiwszy wszystkich osobistych i nabytych praw stanu i prerogatyw, wysłać na mieszkanie do gubernii tobolskiej;

3) podsądnych: mieszczanina Dominika Zajewskiego, lat 55, i włościan: Rocha Szarowskiego, lat 74, i Izydora Karpowicza, lat 24, pozbawiwszy wszelkich praw i prerogatyw osobistych i stanu, oddać do rot poprawczych aresztanckich (kompanij karnych) na rok jeden, z następstwami lub zamianą, przewidzianemi w artykułach 48 i 77 ustawy karnej;

4) szlachcica Franciszka Lubowicza, lat 19, i włościanina Stanisława Marczewskiego, lat 20, zamknąć w więzieniu każdego na cztery miesiące;

5) szlachtę: Franciszka Burbo, lat 32, Ignacego Stonkusa, lat 48, Józefa Sawnora, lat 38, Giertrudę Pietkiewicz, lat 36, Wincentego Bucewicza, lat 44, i Monikę Pietkiewicz, lat 28, zamknąć do turmy na trzy tygodnie każdego;

6) podsądnych mieszczan: Stanisława Szypiłło, lat 38, Jana Windejkisa, lat 29, Piotra Czyżewskiego, lat 22, i Antoniego Kimonta, lat 22, a również włościan: Józefa Grygułło, lat 30, Agatę Stefankiewicz, lat 31, Michała Jarułajtisa, lat 34, Wiktoryę Białogławajtis lat 25, Adolfa Iwanowskiego, lat 35, Józefa Andrulisa, lat 21, Weronikę Ponikajtis, lat 55, Marcelę Dombrowską, lat 50, i Annę Czikajtis, lat 30, zatrzymać w areszcie policyjnym przez trzy tygodnie każdego;

7) podsądnych włościan: Wincentego Zawadzkiego, lat 18, Józefa Mockusa, lat 20, Antoniego Gużewskiego, lat 20, i Domicellę Jarułajtis, lat 18, ukarać 7-dniowym aresztem policyjnym;

8) podsądnego włościanina Feliksa Trokszelisa, lat 16, poddać karze poprawczej domowej;

9) podsądnych, szlachtę: Franciszka Kłopotowskiego, lat 70, Franciszkę Jurewicz, lat 30, Helenę Jasiewicz, lat 45, Ignacego Adamowicza, lat 71, Felicyana Pietkiewicza, lat 76, Franciszka Norgiałło, lat 22, Feliksa Eismonta, lat 30, Antoniego Dobkiewicza, lat 60, Izabellę Dobkiewicz, lat 58, Marcyannę Kłopotowską, lat 62, Ewę Nowicką, lat 50, Józefa Norwiłła, lat 58, Macieja Popławskiego, lat 68, Ignacego Bolesława Bielskiego, lat 39, i Ignacego Kietarowskiego, lat 75; dalej mieszczan: Scholastykę Zajewską, lat 56, Teodorę Zajewską, lat 23, Maryannę Martinkus, lat 71, Wincentego Żukowskiego, lat 45, i Teodora Możejko, lat 59, a również włościan: Michała Lewickiego, lat 20, Józefa Steponkusa, lat 25, Kazimierza Czapowskiego, lat 59, Feliksa Andrzejewskiego, lat 62, Antoniego Ałuzasa, lat 36, Józefa Wasilewskiego, lat 41, Michała Gustisa, lat 38, Benedykta Gierczasa, lat 28, Katarzynę Mecewicz, lat 28, Wincentego Dynika, lat 38, Aleksandra

Szewczukowa, lat 19, i Stanisława Norkusa, lat 27, uznać w tej sprawie za niewinnych, a także uznać jako niewinnych: Rocha Szarowskiego w sprawie o opór władzy z dnia 18. i 20. października 1893 roku i Adolfa Iwanowskiego w sprawie oporu z dnia 20. października 1893 r.;

10) wydatki sądowe w tym procesie rozłożyć równie i solidarnie na wszystkich podsądnych, a gdyby brakło odpowiedniego pokrycia, przyjąć ostatecznie na rzecz skarbu;

11) z przedmiotów dowodowych laskę dębową zniszczyć; ukaz konsystorza, korespondencyę rossieńskiego zarządu policyjnego, i ręcznik zwrócić komu się należy, a inne przedmioty dowodowe zostawić w aktach;

12) niniejszy wyrok, po uzyskaniu mocy prawnej, w myśl artykułu 945 procedury karnej, względnie do osądzonych osób pochodzenia szlacheckiego: Jana Markiewicza, Franciszka Piotrowicza, Józefa Jezierskiego i Józefa Rymgajło, przedstawić przez ministra sprawiedliwości do łaski Jego cesarskiej Mości. Niezależnie od tego, kierując się artykułami: 775, 798 i 945 procedury karnej, starać się u Jego cesarsk. Mości, również przez ministra sprawiedliwości, o złagodzenie kary, wymierzonej niniejszym wyrokiem podsądnym: Janowi Markiewiczowi, Józefowi Brazłowskiemu, Janowi Rymkusowi i Jakubowi Żutowtowi na jeden rok więzienia bez pozbawienia i ograniczenia praw stanu, a o darowanie kary wszystkim innym, zasądzonym w tej sprawie.

Lista osób oskarżonych na mocy §. 263 — 266 kodeksu karnego.

Szlachta:

1) Franciszek Kłopotowski, 70 lat. 2) Franciszka Jurewicz, 30 lat. 3) Helena Jasiewicz, 45 lat. 4) Ignacy Adamowicz, 71 lat. 5) Felicyan Pietkiewicz, 76 lat, 6) Franciszek Burbo, 32 lat. 7) Franciszek Lubowicz, 19 lat. 8) Jan Markiewicz, 32 lat. 9) Ignacy Stonkus, 48 lat. 10) Franciszek Petrowicz, 57 lat. 11) Józef Sawnor, 38 lat. 12) Józef Jezierski, 45 lat. 13) Franciszek Norgiałło, 22 lat. 14) Feliks Eismont, 30 lat. 15) Józef Rymgajło, 30 lat. 16) Gertruda Pietkiewicz, 26 lat. 17) Wincenty Bucewicz, 44 lat. (Ci wszyscy w turmie kowieńskiej). 18) Antoni Dobkiewicz, 60 lat. 19) Izabella Dobkiewicz, 58 lat. (Ci w majątku Sodale). 20) Marcyanna Kłopotowska, 62 lat, w m. Krożach. 21) Ewa Nowicka, 50 lat, w m. Krożach. 22) Józef Norwiłło, 58 lat, w m. Krożach-Pomiedziokalnie. 23) Maciej Popławski, 68 lat, w m. Krożach. 24) Monika Pietkiewicz, 28 lat, w wiosce Adamajci. 25) Ignacy Bielski, 39 lat. 26) Ignacy Kietarowski, 75 lat. 27) Jan Druktejn, 80 lat, w m. Krożach.

Mieszczanie:

28) Stanisław Szypiłło, lat 38, oswobodzony na porękę, mieszka w majątku Grejtyszkach, krożkiej włości, rossieńskiego powiatu. 29) Scholastyka Zajewska, 56 lat. 30) Teodora Zajewska 23 lat. 31) Dominik Zajewski, 55 lat. 32) Jan Widejkis, 29 lat. (Ci wszyscy w turmie kowieńskiej). 33) Maryanna Martinkus, 71

lat, w m. Krożach. 34) Wincenty Żukowski, 45 lat w m. Płuszczy, rossien. pow. 35) Teodor Możejko lat 59 w m. Krożach.

Nigdzie nie przynależni mieszczanie.

36) Piotr Czyżewski, 22 lat. 37) Antoni Kimont, 22 lat.

Włościanie:

38) Józef Brazłowski, 40 lat. 39) Józef Grygułło. 30 lat. 40) Wincenty Zawadzki, 18 lat. 41) Józef Lewicki, 27 lat. 42) Michał Lewicki, 20 lat. 43) Józef Steponkus, 25 lat. 44) Agata Stefankiewicz, 31 lat, 45) Stanisław Marczewski, 20 lat. 46) Kazimierz Czapowski, 59 lat. 48) Roch Szarowski, 74 lat. 48) Michał Jarułajtis, 34 lat. 49) Wiktorya Białogławajtis, 25 lat. 50) Adolf Iwanowski 35 lat. 51) Feliks Andrzejewski, 62 lat. 52) Józef Mockus, 20 lat. 53) Jan Rymkis, 39 lat. 54) Antoni Gużewski, 20 lat. 55) Domicela Jarułajtis, 18 lat. 56) Jakób Żutowt, 36 lat. (Wszyscy w turmie kowieńskiej). 57) Antoni Ałuzas, 36 lat, oswobodzony na porękę, mieszka w wiosce Pupianach, krożsk. włości, rossien. pow. 58) Józef Andrulis, 21 lat. 59) Józef Wasilewski, 41 lat, 60) Izydor Karpowicz, 24 lat. 61) Weronika Ponikajtis, 55 lat. 62) Michał Gustis, 38 lat. (Wszyscy w turmie kowieńskiej). 63) Benedykt Gierczas, 28 lat, w m. Krożach. 64) Katarzyna Mecewicz, 28 lat, w mająt. Brukali, rossien. pow. 65) Wincenty Dynik, 38 lat, w wiosce Giewili, rossien. pow. 66) Feliks Trokszelis, 16 lat, w folw. Słobodka, rossien. pow. 67) Jan Bumbał, 39 lat, w m. Krożach. 68) Aleksander Szewczukow, 19 lat, w m. Krożach.

Nigdzie nie przynależni:

69) Syn włościanki Stanisław Norkus, 27 lat. 70) Córka włościanki Marcela Dombrowska, 50 lat. 71) Córka włościanki Anna Czitejtis, 30 lat. Wszyscy w turmie kowieńskiej.

Świadkowie.

1) Mikołaj Klingenberg, naczelnik kowieńskiej guberni; 2) pułkownik Michał Żołkiewicz, spełniający obowiązki naczelnika gub. żandarm. zarządu; 3) Georgij Kożyn, sowietnik kowieńskiego gub. uprawlenja; 4) Aleksander Smoleński, urzędnik do szczeg. poruczeń przy kowieńskim gubernatorze; 5) Piotr Wichmann, rossieński sprawnik; 6) rotmistrz Jan Siemionow, m. Kowno, 7) kanonik Franciszek Jastrzembski, m. Szydłowo, 2 stanu, rossien. p.; 8) ksiądz Karol Jawgiel, m. Kielmy, rossien. pow.; 9) ksiądz Apolinary Renacki, m. Kroże; 10) ksiądz Augustyn Możejko, m. Kroże; 11) Leonid Goffan, asesor 1 stanu, rossien. p.; 12) Aleksander Jodkowski, asesor 2 stanu, kowień, p.; 13) Mikołaj Szwarew, asesor 4 stanu, szawelskiego pow.; 14) Wasilej Mandryko, asesor 4 stanu, rossien. pow.; 15) Mikołaj Iwanów, asesor 4 stanu, teleszewsk. pow.; 16) Ilija Koleśników, asesor 2 stanu, rossien. pow.; 17) Wasilij Iwaszencow, policyjny nadziratel m. Jurburga.

Podoficerowie żandarmscy.

18) Joan Gekendorf, m. Kowno; 19) Fridrich Korwejt, m. Kurszany, szawelsk. pow.; 20) Stefan Wołosienko, m. Kielmy; Feofilat Swirydow, m. Kielmy.

Wachmistrze żandarmscy.

22) Jakób Putre, m. Gorzdy; 23) Nikołaj Krestnikow m. Telszy,

Urzędnicy policyjni.

24) Leontij Krochmalny, m. Czekiszki; 25) Filip Repsz, m. Siady; 26) Michaił Sznejder, m. Średniki; 27) Wiaczesław Mongird, m. Rumszyszki; 28) Warfołomiej Siemaszko, m. Kroże; 29) Aleksiej Szyszkow, m. Ławkowo; 30) Kuźma Syrokwaszyn, m. Olsiady; 31) Iwan Krywonosow, m. Szkudy; 32) Adam Jawgiel, m. Zorany, 4 stanu, telszewskiego pow.; 33) Fedor Dobrowolski m. Korciany, telszew. pow.; 34) Paweł Mołczanów, m. Powondeni; 35) Emiljan Mazurenko, m. Genteliszki, teleszew. p.; 36) Makar Bukraba, m. Neworany, telsz. pow.; 37) Anton Dianow, m. Uzwenty 1 stanu, szaw. p.; 38) Aleksiej Zukow, m. Girtakole, rossien. pow.; 39) Fedor Szpakiewicz, m. Gruzdzi, szawel. pow.; 40) Kornilij Trofimow, m. Kołtyniany; 41) Grygorij Wiktorowski, m. Botoki, 3 stanu, rossien. pow.; 42) Siemen Nikityn, m. Dorbiany, telcz. pow.; 43) Jan Szarykow, m. Zagory, szawel. p.; 44) Stefan Tunik, m. Tyrkszli, telszew. pow.; 45) Jegor Dmitriew, m. Szawlany; 46) Jan Kuchalski, m. Janiszki, szawel. pow,; 47) Iwan Litowszczykow, m. Ligurny, szawel. pow.; 48) Jegor Niegodiajew, m. Kurszany, szawel. pow.; 49) Jaków Bohdanow, m. Popielany, szawel. p.; 50) Paweł Lisowski, m. Sałanty, telszew. p.; 51) Ananij Pospiełow, m. Krupi, szawel. pow.; 52) Nikołaj Jeraszew, m. Kroże, rossien. p.; 53) Kasper Pawlukajtis, m. Worni, telszew. p.; 54) Jan Uljanowicz, m. Szyleli, rossien. p.; 55) Andrej But, m. Szydłowo rossien. p.; 56) Ludwik Buszacki, m. Rossieny; 57) Wojtiech Możejko, m. Skandwilli, rossien. p.; 58) Nikifor Kruglakow, m. Widukli, rossien. p.; 59) Aleksander Djakonow, m. Podubissy, 1 stanu, szaw. pow.; 60) Antoni Jankiewicz, m. Łukniku, 1 stanu, szawel. p.; 61) krożański wójt, Piotr

syn Augusta Gajdymowicz; 62) Andrzej Kajetanowicz Zawadzki; 63) Ignacy Iwanowicz Sawnor; 64) Aleksander Stanisławowicz Pietkiewicz; 65) Franciszek Dzimidowicz; 66) Jan Dominik Raczkowski; 67) Osyp Antonowicz Żurakowski; 68) Lejbura Gierszowicz; 69) żandarmski podoficer Maksym Teodor Rohożkin; 70) urzędnik polic. Jurjew Landsman; 71) Jan Franciszek Eljasz; 72) Toma Fr. Grygułło; 73) Jakób Stepanow Chorun; 74) Aleksander Narbut; 75) Tytus Okuniewski; 76) Stanisław Wincenty Giedmin; 77) kandydat prawa Hipolit Stanisławowicz Nowkuński: 78) Hipolit syn Hipolita Nowkuński.

OBJAŚNIENIA.

I.

Gołołobow, Samojło i syn Kochanowa.

Gołołobow jest naczelnikiem czyli prawitelem kancelaryi wileńskiego generał gubernatora. Pełnił ten sam urząd jeszcze przy Kochanowie. Jest to popowicz, tak jak sam Orżewski. Nie mając z domu żadnego funduszu, wydaje Gołołobów rocznie trzy razy tyle, ile dostaje pensyi od rządu, a oprócz tego kupił duży majątek. Był wmięszany w sprawę rozkradzenia funduszów, przeznaczonych na pomnik Murawiewa, fundusze materyalne jednak któremi rozporządza pochodzą nie z kradzieży, lecz głównie z usług, które oddaje towarzystwu eksploatującemu dwa banki wileńskie. To towarzystwo znane w Wilnie pod imieniem „Ziemielna banda", mając przez Gołołobowa zapewnioną protekcyę generał gubernatorów wileńskich, niczego nie może odmówić panu Gołołobowi. Gołołobów jest nikczemny szalbierz i człowiek na wszystko gotowy, nawet na szpiegowanie swoich zwierzchników dla ministra spraw wewnętrznych Durnawo, który go też za to proteguje.

Samojło był naczelnikiem wydziału kancelaryi generał gubernatorów wileńskich za czasów Kochanowa i zawdzięczał swoją pozycyę pięknej pani Samojło, byłej aktorce, która przez lat dziesięć uchodziła za jego żonę. Był on właściwie prawą ręką Kochanowa i przez

cały szereg lat eksploatował i terroryzował Litwę. To też mówiono o pseudo-małżeństwie Samojłowów, że starego Kochanowa trzymali za obie ręce, bo i za prawą i za lewą.

Łapownik i łotr jakich mało, Samojło dał się jednak złapać pod koniec, a mianowicie po wyjeździe Kochanowa, gdy się pokłócił z drugim oszustem, z którym do wspólki rozbijali, niejakim Fieodorem Bergiem renegatem, redagującym wpływowy tygodnik „Ruskij Wiestnik“ w Moskwie. Udowodniono mianowicie Samojłowi wskutek denuncyacyj Berga cały szereg fałszerstw i oszustw, za który sąd karny wileński skazał go na pozbawienie praw i osiedlenie w gubernii archangielskiej w północnej Rosyi.

Syn Kochanowa, Mikołaj Iwanowicz, urzędnik kancelaryi swego ojca, a także kamerjunker dworu carskiego w Petersburgu, był łapownikiem z konieczności, gdyż zawsze miał do załagodzenia różne delikatne sprawy, wypływające ze zbytecznej jego przyjaźni dla różnych żydziaków z pomiędzy uczniów wileńskiego gimnazyum.

Gdyby nie wpływy ojca zasiadłby niezawodnie na ławie oskarżonych, choćby tylko za grube oskubanie banku hypotecznego moskiewskiego, które nie dość gładko przeprowadził.

Dużo też brał pieniędzy od księży katolickich, których różne przekroczenia służbowe umiał razem z Gołołobowem bardzo sprytnie odnajdywać, a następnie za otrzymaniem odpowiedniego wynagrodzenia jeszcze sprytniej pokrywać.

Jego to Orżewski, zaraz po swojem przybyciu do Wilna sromotnie wypędził. Trójka Samojłów, Gołołobów i Kochanow junior, pomimo wielkich i częstych

pomiędzy nimi rozterek, przez długie lata operowała niemal publicznie i przez nich to uplanowany szantaż był poniekąd początkiem nieszczęść włościan krożańskich.

II.

Klingenberg.

Klingenberg, pochodzący z rodziny przechrztów niemieckich, zamieszkałej w petersburskiej gubernii, był podprokuratorem w Wilnie jeszcze za czasów gen.-gubernatorstwa dziś już dawno nieżyjącego gen. Todtlebena, obrońcy Sewastopola, który na wileńskiem gen.-gubernatorstwie zakończył karyerę i życie. Todtleben, chociaż Niemiec, był jednak satrapą moskiewskim w całem znaczeniu tego słowa, a potrzebując wydać za mąż pewną rozwódkę, wybrał w tym celu młodego Klingenberga. Przyrzekł mu, że jeżeli z tą panią się ożeni, wnet zostanie policmajstrem wileńskim, to jest otrzyma stanowisko, wprawdzie nie zbyt zaszczytne, ale bardzo grubo płatne i dające sposobność do korzystania z wielu innych poboczonych źródeł dochodu. Dotrzymał też słowa Todtleben i Klingenberg, ożeniwszy się podług serca starego Todtlebena z rozwódką Danaurową, był przez kilka lat szczęśliwym policmajstrem wileńskim i dorobił się znacznego kapitału.

W ogóle można powiedzieć, że Klingenberg był *né coiffé*, t. zn. urodzony w czepcu. To też szczęście od tej chwili go nie odstępowało. Umarł Todtleben i umarła żona Klingenberga. Na miejsce Todtlebena przyszedł do Wilna gen. Kochanow. I tak dziwnie się złożyło, że i Kochanow zapotrzebował męża dla pewnej kobiety. Była to znowu rozwódka, ale tym razem innego rodzaju. Rozwód jej bowiem nie był

wcale dobrowolnym. Jej mąż p. Michał Brzozowski został po prostu przez cały szereg sądów moskiewskich skazanym na kilkadziesiąt lat katorgi z pozbawieniem wszelkich praw, a więc i z unieważnieniem ślubu.

Skoro tylko Klingenberg ożenił się z panią Brzozowską, zamianował go Kochanów najpierw zarządzającym gubernią kowieńską, następnie gubernatorem tejże gubernii. I tak był Klingenberg takim samym szczęśliwym gubernatorem, jak przedtem był szczęśliwym policmajstrem. On to w interesie łapowników z otoczenia Kochanowa zwlekał z wykonaniem ukazu o zamknięciu kościoła krożańskiego.

Nagłe wypędzenie Kochanowa wielką była dla Klingenberga niespodziankę, a równą niespodzianką było i to, że dla interesów nowego pana, którym z kolei został Orżewski, nie potrzeba już było trzeciej żeniaczki, ani faktorowania przy łapówkach, ale krwi, mordów i knutowania. Lecz i do tego potrafił się zastósować Klingenberg, a jak nowe swoje zadania spełniał, pokazuje sprawa krożańska.

III.

Orżewski.

Rzadko kto tak konsekwentnie, z takim rozmysłem i zaciekłością eksploatował dla swojej karyery krzywdę ludzką, jak Orżewski. I w samej rzeczy wnuk księdza unickiego, a więc Polaka, był Orżewski już synem prawosławnego urzędnika policyjnego, który czuł się Moskalem i miał do tego nowego stanu takie zdolności, że nawet za czasów Mikołaja I. t. j. za czasów ogólnego łapownictwa, unieśmiertelnio-

nego przez pisarza Gogola, umiał się wyszczególnić, stał się niemal legendowym i zebrał bardzo znaczny majątek.

Z takiego gniazda wychodząc, Orżewski miał poniekąd wytkniętą sobie karyerę, już to jawnego, już to tajnego policyanta, naturalnie z tem nieuniknionem piętnem, które nosi każdy renegat, a mianowicie nienawiści do tej narodowości, której się wyrzekł i tej religii, której został zaprzańcem. Tak też stało się i z nim. Układny, grzeczny na pozór, słodki jak trucizna wschodnia, jeszcze za młodu wkręcał się w wyższe towarzystwa polskie i początki swojej karyery, a szczególnie wejście w arystokratyczny świat petersburski, zawdzięczał Polakowi, nieżyjącemu już dzisiaj generałowi hr. Rzewuskiemu, którego córka z Moskiewki hrabianki Woronców-Daszków zrodzona, wyszła za ks. Radziwiłła, a syn z drugiej żony Polki jest owym znanym w literaturze francuskiej hr. Stanisławem Rzewuskim, który francuskiemi dramatami zasila sceny paryskie, a polskiemi pieniądzmi grę w klubach od Monte Carlo aż do *cercle de la rue royale*. W domu Rzewuskiego był Orżewski długi czas przyjmowanym prawie na stopie synowskiej.

Gdy porósł w pierze i wziął po ojcu sukcesyę — prosił Orżewski o przeniesienie go do Warszawy, gdzie na ważnem stanowisku naczelnika żandarmskiego okręgu, to jest szefa szpiegów, agentów-podżegaczy i tajnej policyi, obiecywał, jako dokładnie znający mowę, literaturę i towarzystwo polskie, oddać rządowi moskiewskiemu nieocenione usługi. I rzeczywiście oddawał je, lecz na swój specyalny sposób, to jest na taki, na który nawet przeciętny Moskal wzdrygałby się niezawodnie. Członek klubu myśliwskiego, wielki galant

z damami wyższego towarzystwa, z których niejedna wedle niestety starej tradycyi wyróżniała go nawet, grzeczny z panami, uchodził za bardzo przyjaznego, lubiącego naszych Moskala, a jednocześnie prowadząc śledztwo w sprawie spisku znanego Bardowskiego, tych samych ludzi, z którymi obcował i którym schlebiał, przedstawiał u rządu w swoich raportach jako przygotowujących nowe powstanie. Nieustannie nalegał w Petersburgu na konieczność zastosowania do Królestwa polskiego nadzwyczajnego stanu oblężenia z masowem wysełaniem na Sybir i w głąb Rosyi wybitniejszych Polaków, których on, jako ich dokładnie znający, wskazywać się ofiarował.

Nieznającym stosunki zakordonowe czytelnikom naszym musimy przypomnąć, że Bardowskij był Moskalem, prezesem zjazdu sędziów pokoju w Warszawie, bardzo lubianym w rosyjskiem towarzystwie, dobrym znajomym i towarzyszem Orżewskiego, lecz jednocześnie zapamiętałym spiskowcem i skrytym nihilistą. Gdy wskutek raportów Orżewskiego, aresztowano go we własnym gabinecie w gmachu rządowym, strzelił do siebie dwa razy z rewolweru, lecz nie trafił się śmiertelnie i został w cytadeli warszawskiej osadzonym a następnie z pięciu innymi powieszonym. Bardowskiego spisek był czysto nihilistycznej natury — Bardowskij miał bowiem główną styczność z terrorystami moskiewskimi, czyli partyą, zwaną wówczas w kółkach spiskowców *czornyj peredieł*, to jest czarny wydział.

Otóż obok tego spisku Bardowskiego istniał związek młodzieży polskiej, a raczej podrastających żaków, którzy uważali siebie za socyalistów. Młodzieńcy ci pozakładali byli w niektórych miastach t. zw. „gminy“, na czele których mieli stać wójtowie, którym to wój-

tom, nawiasem mówiąc, zwyczajnie do pełnoletności nie stawało lat kilka. Obok tych młokosów, dla których spisek przedstawiał się uroczym z powodu uczestniczenia w nim kobiet emancypantek, były też i socyalistki ze świata guwernantek i akuszerek. Lecz tym paniom dziwnym trafem do pełnoletności doliczano już lat nie mało. Cały ten światek złożony z kilkudziesięciu osobników płci obojga, bawił się w tajne poufne schadzki, spisywał broszury i protokoły, na ślad których przypadkowo wpadł Orżewski. Owe to stowarzyszenie, któreby każdy inny przeciętny policyant moskiewski uważał za dostacznie ukarane karcerem gimnazyalnym lub uniwersyteckim, Orżewski w Petersburgu przedstawił jako przygotowanie do nowego powstania, obejmujące całe Królestwo Polskie i zabrane prowincye, liczące tysiące adeptów, których wprawdzie dotąd nie wykrył, lecz niezawodnie wykryć obiecywał, jeżeliby mu dano z Petersburga na to potrzebne środki w postaci nadzwyczajnego stanu oblężenia, pozwolenia chwytania, więzienia i wysyłania każdego, kogo on tylko zechce. Kłamstwa jego były tak zręcznie przedstawione, a w tak głębokiej tajemnicy utrzymymane, że omal w Petersburgu nie uwierzono temu wszystkiemu, gdyby nie ta okoliczność, że obok Orżewskiego znalazł się drugi jak on karyerowicz, drugi jak on pół Polak, drugi, jak on człowiek nieprzebierający w środkach, lecz o wiele od niego rozumniejszy i względnie uczciwszy. Tym człowiekiem był Plewa, obecny mąż stanu rosyjski a towarzysz ministra spraw wewnętrznych, sekretarz stanu i senator, rzeczywisty tajny radca Wacław Konstynowicz von Plöve.

Młody wówczas p. Plewa, bardzo sprytny i przystojny synek dymisyonowanego kapitana Plewy, którego

rodzic był organistą w parafii reformackiej Kielmenskiej na Żmudzi, gdzie Plewowie z ojca na syna od wieków zajmują tę posadę — wychowywał się jako reformat w Warszawie, następnie w Krakowie, gdzie przyjął wiarę katolicką, później był nauczycielem domowym w Moskwie, gdzie przyjął prawosławie, ożenił się z Moskiewką i wstąpił do prokuratury. Jego to ministerstwo sprawiedliwości dodało było Orżewskiemu przy prowadzeniu wyżej wspomnianego śledztwa o spisku Bardowskiego, ażeby szakale instynkty Orżewskiego nie zaprowadziły go w czynnościach żandarmsko-szpiegowskich poza wszelkie granice, choćby pozornej legalności.

Nie wiele czasu potrzebował młody prokurator Plewa, aby poznać do szpiku kości swego Orżewskiego, lecz dopiero gdy miał w ręku wszystkie niezbite dowody łotrowskiej obłudy Orżewskiego, pojechał za urlopem do Petersburga i na audyencyi wyproszonej u ówczesnego ministra sprawiedliwości Nabokowa, wyłuszczył cały plan projektowanego przez Orżewskiego politycznego oszustwa i złożył na poparcie swego donosu tak nie dające się obalić dokumenty, że Nabokow widział się zniewolonym przedstawić samemu carowi młodego prokuratora, który od tej chwili zaczął swoją zdumiewająco szybką karyerę.

Orżewskiemu kazano śledztwa zaczętego przeciw Polakom zaniechać, niepełnoletnich „wójtów“ i członków ich „gminy“ na drodze administracyjnej powysyłano do gubernij wewnętrznych caratu, skąd za lat parę popowracali do miejsc urodzenia, ich wspólniczki, ultraliberalne guwernantki i akuszerki polskie, porozpędzano na wszystkie strony, a Orżewskiego powołano dla objaśnień do Petersburga, gdzie został dość kwaśno przyjęty. Towarzystwo rosyjskie zarzucało mu nietylko kłamstwo

polityczne, lecz i tę podłość, że będąc w bardzo wielkich łaskach u pewnej damy, należącej do sfery najwyższej administracyi warszawskiej, jednocześnie był przyjacielem domu i denuncyantem jej męża, którego w tajnych swoich raportach, jak najgorzej przedstawił.

Dla kogo innego karyera służbowa byłaby już tem zakończona i musiałby na zajmowanym stanowisku dalej wegetować bez perspektywy awansu, lecz w Rosyi tak się dzieje, że potrzebnym jest czasami nie człowiek zdolny i uczciwy, energiczny i oddany, ale łotr gotów na wszystko, któryby na skinienie pozbył się czci i wiary i oddawał rządowi na najwyższych posadach takie usługi, jakich w innych państwach zachodniej Europy wymaga się tylko od anonimowych agentów, którym się nie daje ani krzyżów ani ręki, ale tylko pieniądze. Takim to sposobem się dzieje, że Orżewski, o którego wartości moralnej nikt nie ma żadnych iluzyj, nosi mundur wojskowy i używa dalej praw dżentelmana.

I miał racyę Orżewski, który się był *in tracto* tego ożenił z księżniczką Szachowskoj, córką podupadłego na majątku generała i Polki, mającą też macochę Polkę, a która przy obecnej carowie wdowie po Aleksandrze III., pełniła dłuższy czas służbę jako frejlina jej dworu.

Gdy na początku przeszłego panowania, car Aleksander III. wdrożył bezlitośne postępowanie nietylko przeciw nihilistom, lecz przeciw wszystkim bez wyjątku ludziom, którzy byli choćby tylko posądzeni o sympatye dla nich, otworzyło się nowe odpowiednie pole działalności dla Orżewskiego i przez wzgląd na swoją żonę dostał za protekcyą carowej posadę towarzysza ministra spraw wewnętrznych, tj. tę samą posadę, po części policyjną po części żandarmską, którą dawniej nazywano trzecim oddziałem, a zmieniono tylko z nazwy, jako zbyt osła-

wioną, nie zmieniając ani sposobów, ani środków, które tam były używane.

Co się wtenczas działo w budynku na Fontance pod nr. 16, o tem mogliby opowiedzieć tylko ci, których Kennan widział w kopalniach w Nerczyńsku lub w różnych siołach tajgi sybirskiej. Ludzie nikli bez śladu, seciny, tysiące młodzieży lekkomyślnej lub nawet tylko zadenuncyowanej przez kogoś nieprzychylnego, powędrowało za Ural; zaprowadzoną została przeciw nihilistom tajna procedura a nawet egzekucye i wieszania bez sądów po fortecach i w więzieniach. Orżewski, czynny jak hyena w trupiarni, pogrążony cały w łapaniu, śledzeniu i wieszaniu nihilistów, których sam osobiście indagował, nabrał wtenczas tego tak charakterystycznego wyglądu, który go dziś jeszcze piętnuje, a psychiatrów, którzy się tem ciekawem zjawiskiem zajmowali, zostawia w niepewności, czy człowiek ten o wzroku chwiejnym i unikającym prostego spojrzenia, o nerwach drgających na twarzy, o głowie, którą nosi jak monstrancyę, podczas gdy na niej od czasu do czasu przebiegają kurcze nerwowe i grymasy małpie, należy podług nauki do psychopatów cierpiących na połączone manie wielkości i prześladowania drugich, czy też jest z rozmysłu i pasyi poprostu jednym z największych łotrów i ciemięzców, pod którego ręką ziemia polska jęczeć musiała.

Statystyka — rozumie się w cyfrach tylko przybliżonych — podaje na 14.000 ilość ludzi, którzy byli za jego rządów chwyceni, przetransportowani w Sybir, lub też znikli bez śladu. I chociaż byli to prawie wyłącznie i jedynie tylko rodowici Moskale z niewielką przymieszką żydów emancypantów, można powiedzieć, że ulubionem zadaniem, poniekąd nawet manią Orżewskiego

było mięszać *per fas et nefas* w liczbę nihilistów choćby kilkudziesięciu a nawet choćby kilkunastu Polaków dla nadania, jeżeliby się udało, całemu ruchowi charakteru nie wyłącznie rosyjskiego, lecz rosyjsko-polskiego.

Działalność tak tendencyjna, tak z góry z nienawiścią prowadzona, nakoniec tak bezwzględna i barbarzyńska, nie mogła być dziełem człowieka rzeczywiście rozumnego, to też bardzo prędko w sferach rządzących moskiewskich utrwaliła się opinia, że Orżewski jest niezrównanym katem, ale katem głupim, którego przeciwko nihilizmowi używać wolno i pożytecznie, ale któremu wierzyć i ufać bezwzględnie nie warto. Szczególnie inne policye, współzawodniczące z policyą jego, dawały mą odczuwać to lekceważenie i tem doprowadziły naturę tego zbira do wściekłości, w której nieprawdopodobną próżność i zarozumiałość jeszcze przewyższają mściwość i okrucieństwo.

Dla objaśnienia dodać tu musimy, że za ostatniego cara istniały w Petersburgu z władzą prawie niczem nieograniczoną trzy osobne tajne policye, zupełnia jedna od drugiej niezależne, z zakresem działalności wprawdzie teoretycznie rozgraniczonym, w praktyce atoli prowadzącym nieraz do nieporozumień i starć. Najważniejsza stosunkowo i rozporządzająca największemi środkami była i jest dotąd policya osobista carska, czyli tak zwana *achrana*, pod dowództwem gen. Czerewina. Działalność jej miała się ograniczać do pałaców carskich, kolei żelaznych podczas przejazdu cara i w ogóle do wszystkich miejsc, gdzieby car czasowo przebywał. Drugą była dawna i obejmująca całe carstwo policya żandarmów czyli byłe III oddzielenie, na czele której stał Orżewski, jako podwładny ministra spraw wewnętrznych, z głównem zadaniem politycznego szpiegostwa,

i w końcu trzecią była policya obecpolicmajstra petersburskiego, czyli gradonaczalnika z prawami gen. gubernatora. Gradonaczalnik, który, chociaż teoretycznie również podlegał ministrowi spraw wewnętrznych, widując cara prawie codzień, a czasem i kilka razy dziennie, faktycznie znosił się tylko z carem i za czasów, gdy ten urząd pełnił gen. Gresser, jego policya była prawdopodobnie najlepszą ze wszystkich trzech. W każdym razie car Aleksander III. był tego zdania. Gresserowi wierzył bezwzględnie, i jego też policya była istotnie zupełnie niezależną.

Otóż Gresser, jako Niemiec zrusczały i nie wyzuty ze wszystkich zasad uczciwego człowieka, prędko poznał Orżewskiego i poznawszy go, wcale się nie taił z wstrętem i pogardą, którą podobna osobistość u niego wzbudzać musiała. Wywiązała się między tymi dwoma policyantami walka skryta, niby grzeczna, lecz w rzeczywistości idąca na życie i śmierć w najściślejszem znaczeniu tego wyrazu, gdyż igrali oni obaj z życiem i śmiercią, nie swoją, lecz cudzą a mianowicie spiskowców przeciwko carowi, których jeden przed drugim starał się wykryć i złowić, a Orżewski tem łatwiej łowić się spodziewał, że sam ich sztucznie wytwarzał. To też i było przyczyną jego upadku.

Gresser dowiedział się przez swoich agentów, że Orżewski, czy to może wykuł, czy też przez własnych podżegaczy rozdmuchał konspiracye młodziutkich studentów, na czoło których umiał był wysunąć dwóch młodych Polaków, braci Piłsuckich, synów niegdyś zamożnego obywatela w wileńskiej gubernii, z których jeden miał lat 17 a drugi 19. Orżewski wiedząc o wszystkiem i śledząc za każdym ich ruchem, spodziewał się złowić ich z bombami w ręku tuż przed prze-

jazdem cara po Newskim Prospekcie, i tak za jednym zamachem złożyć dowód niezbity carowi, że najprzód bywają nihiliści i królobójcy Polacy, a po drugie, że niema policyanta lepszego od niego. Można sobie wyobrazić wściekłość i zdumienie Orżewskiego, gdy tych nieszczęśliwych młokosów z bombami, jeszcze zawiniętemi w seksterna szkolne, złowił i zamknął, nie on, lecz Gresser, który zarazem złożył carowi dowody niezbite tego, że Orżewski o Pisłuckich i całym ich spisku doskonale wszystko wiedział, mógł od dawna ich uwięzić, a rozmyślnie z aresztowaniem zwlekał. Dostały się też od cara za to ostre wymówki Orżewskiemu, a ten chcąc się zemścić na Gresserze, dopuścił się wybuchu, który rozśmieszył cały Petersburg i dokumentalnie wykazał, że w gruncie Orżewski był jeszcze większym głupcem aniżeli pyszałkiem.

W parę dni po wykryciu spisku Piłsuckich, gdy obaj, Gresser i Orżewski byli z urzędu w teatrze, ponieważ i car tam wieczór spędzał, w chwili gdy po skończonym przedstawieniu Gresser spieszył, aby podług zwyczaju uprzedzić wychodzącego cesarza, i następnie stojąc w sankach, jechać przed powozem carskim, podał mu przez pomyłkę podoficer nie jego płaszcz własny lecz płaszcz Orżewskiego, — Orżewskiemu zaś, który miał jechać za carem, dostał się płaszcz Gressera, czyli mundurowy policyjski.

Lecz podczas gdy Gresser pędził po Newskim Prospekcie w szynelu żandarmskiego generała, nie zauważywszy metamorfozy, Orżewski takową zauważył najdoskonalej i z grubiaństwem zaiste moskiewskiem zrobił scenę podoficerowi, jak on śmie podawać jemu mundur policyjski, i że on takiej obelgi, jak noszenie

choćby na chwilę podobnego munduru, płazem puścić nie może. Dziwiono się na razie że tak poniewiera pan Orżewski mundur policyanta, który przez całe życie był mundurem jego własnego ojca Bazylego Orżewskiego i ma się rozumieć, że nazajutrz doniesiono o tem carowi. Ze swojej strony i Gresser zażądał zadośćuczynienia. Car zawołał do siebie Orżewskiego, wytłumaczył mu, że wcale nie podziela jego zdania co do tego, by mundur żandarmski był lepszym od policyjskiego i kazał Gressera przeprosić. Skończyło się na tem, że Gresser Orżewskiego nie przyjął i Orżewski z miejsca wyleciał wcale nie za szynel, jak wtenczas mówiono w Petersburgu, ale za ogół swojej działalności, która w przekonaniu wyższych sfer rządzących moskiewskich i u samego cara przebrała była miarę niepotrzebnego okrucieństwa a szczególnie miarę dozwolonej pyszałkowatości.

Popadł więc Orżewski po raz drugi w niełaskę i przez lat kilka zajmował się tylko powiększaniem swego prywatnego majątku. Wtenczas to wydrwił na Wołyniu Czartoryę, znowu jak w całej swojej karyerze od Polaka, gdyż ci są bezbronni i z tymi dotąd Orżewskiemu wszystko się udawało. Został senatorem, gospodarzył we wsi, bawił się w opozycyę i z upodobaniem łowił ryby na wędkę, czekając aż jakakolwiek niespodziewana okoliczność znowu zrobi go potrzebnym. I rzeczywiście po latach kilku szczęśliwa jego gwiazda nadarzyła mu takową.

Gdy wdowa morganatyczna po carze Aleksandrze II., księżna Jurjewska, napowrót odzyskała łaskę panującego wówczas Aleksandra III. i cała jej rodzina bliższa i dalsza, a więc i żona Orżewskiego, doznawała

różnych odszczególnień, zdarzył się ten fakt niespodziewany, że Kochanow, gen. gubernator wileński, otoczony od lat 10 całą zgrają łapowników i wydrwigroszy, przebrał miarę i po skandalicznych wykryciach, tyczących się rozkradzenia powierzonych mu sum i łapówek, pobieranych przez najbliższe jego otoczenie, został 1. stycznia 1893 usunięty. Prawa zaś jego ręka Samojłow, starszy diełopreizwoditiel kancelaryi Kochanowa, dostał się do kryminału, inny się otruł, a jeszcze inni pouciekali. Oczywiście trzeba było do Wilna człowieka więcej energicznego i wtenczas car Aleksander III., na prośbę carowej, zawsze protegującej panią Orżewską przez pamięć na długoletnią służbę przy niej pełnioną, pomyślał, że bezwzględny taki policyant może być dla oczyszczenia wileńskiej zgrai pożytecznym i zamianował Orżewskiego gen. gubernatorem w miejsce Kochanowa. Była to więc trzecia próba z Orżewskim.

Jak sobie w Wilnie począł Orżewski, wiedzą czytelnicy nasi po części ze sprawy krożańskiej. Wiedzą że znowu próbował sztucznie wywołać rozruchy, aby je następnie stłumić we krwi i chełpić się w Petersburgu energią, znowu przedstawiając Polaków jako najniebezpieczniejszy element w carstwie. O wiele mniej znaną jest jego działalność rabunkowa na polu ekonomicznem, chociaż na początku zeszłego roku gazety publikowały oburzające szczegóły wyrwania przez niego z rąk polskich majątku Łuczaj, w powiecie święciańskim, gub. wileńskiej, i oddania go za bezcen kniaziowi Kontakuzenowi, którego jako dyrektora departamentu wyznań wysłano z Petersburga dla indagacyi w sprawie krożańskiej. Gdy Kantakuzen po wykryciu tej łotrowskiej facyendy został sromotnie wydalony i zaraz potem w Biarritz życie sobie odebrał, Orże-

wskiego to jakoś nie przeraziło, nie zaprzestał bowiem swojej dalszej działalności w tym kierunku. Nie mając nadanego sobie prawa konfiskowania majątków polskich, zmuszał nieszczęśliwych a uległych sobie podwładnych do sprzedawania takowych osobom przez siebie wybranym i to za cenę, jaką sam naznaczał, to jest za bezcen. Powdrażał procesa o odebranie majątków, nadanych tym Rosyanom, którzy mieli rządców lub dzierżawców Polaków, i idąc za dwoma głównymi instynktami swojej natury, zdumiewał Polaków i Rosyan jednocześnie łotrowską chciwością i pyszałkowatością, doprowadzoną prawie do granic, gdzie już zaczyna się pomięszanie zmysłów.

Szczegóły wyszłyby po za zakres niniejszego sprawozdania, dość więc tylko powiedzieć, że w Wilnie o wiele więcej nienawidzą Orżewskiego upokarzani przez niego rodowici Moskale, aniżeli grabieni i ciemiężeni Polacy.

Nic więc dziwnego, jeżeli ten człowiek, który już dobiega lat 60, i patrząc wstecz, widzieć może w swej przeszłości łzy i krew niewinnych ofiar, w przyszłości zaś tylko smutną starość i pogardę współobywateli, jednego wieczora w napadzie wściekłości naciągnął na własną szyję ten stryczek, który na tyle cudzych nałożył i szukał w śmierci zapomnienia tego, co było i uniknienia tego, co go jeszcze czeka? Nic też dziwnego, jeżeli lud który instynktownie czuje, że taki Orżewski wisiećby powinien, tworząc legendy utrzymuje, że już sam się powiesił.

Wszak wiadomo, że podania ludowe, nawet jeżeli nie eskontują przyszłości, to zawsze przypisują każdemu, co się jemu rzeczywiście słusznie należy.

Wierząc w sprawiedliwość Boską, lud wierzyć niechce, aby śmierć zwyczajnych grzeszników mogła być śmiercią owych łotrów historycznych, dla których podług wiary prostaczków, jeszcze na tej ziemi powinno się piekło zaczynać!

IV.

Ofiary gwałtów krożańskich.

Lud litewski, mimo stu lat strasznego prześladowania, mimo ciągłego, pojęcie przechodzącego ucisku — trzyma się silnie wiary ojców i gotów za nią każdej chwili — jak tego tyle razy dał dowody — życie położyć. Aby być tak wytrwałym, a zarazem upartym w swych przekonaniach — Litwinem być potrzeba. Między ludem litewskim, broniącym nieskazitelności swego sumienia i wiary, a pierwszymi zastępami chrześcijan, żadnej nie ma różnicy.

W porównaniu z nimi lud litewski bynajmniej nie traci, podczas bowiem, gdy pierwsi chrześcijanie w katakombach przez dłuższy czas ukrywali się z nabożeństwami, lud litewski, wypróbowawszy bezskutecznie wszelkich środków legalnych, na jakie mu zezwala despotyzm carski — jawnie, z odchyloną piersią staje w obronie kościołów. A gwałty, mordy i rozboje kozactwa moskiewskiego w niczem nie ustępują prześladowaniu pierwszych chrześcijan.

Rany zadawane przez dzikie zwierzęta, którym na pożarcie chrześcijan rzucano, w porównaniu z knutami czynowników carskich bynajmniej nie boleśniej się przedstawiają, a jeżeli po za granicami dawnej Polski są to fakty prawie nieznane, przypisać to należy z jednej strony naszej własnej opieszałości, z dru-

giej zaś konsekwentnemu i bezczelnemu zaprzeczaniu prawdy przez urzędowe i nieurzędowe organy moskiewskiego rządu.

To też gdy się rozeszła złowroga wieść o nowych mordach i gwałtach na Litwie — urzędowe i półurzędowe carskie organy zaprzeczać poczęły prawdziwości tychże, a na miejsce zbrodni wysłana żandarmerya petersburska skonstatowała, że nikogo tego dnia nie ubito.

To prawda. I w tem jedynie tkwi przesada w relacyach, podanych przez prasę zagraniczną. Tegoż jednak samego jeszcze dnia i w ciągu następnej doby skatowane pod kościołem parafialnym w Krożach ofiary — zakończyły życie wśród mąk.

Cała zatem przesada relacyi polegała w oznaczeniu czasu zgonu ofiar gwałtów krożańskich. A i te na pozór nieprawdziwe wiadomości najzupełniej są usprawiedliwione tem, że gdy wieści ze Żmudzi zdołały się przedrzeć przez kordony graniczne, ofiary gwałtu już dawno nie istniały na świecie; pogrzebano je cicho, bez księdza, bez modlitwy, bez święconej wody i dźwięku dzwonów kościelnych. Tak nakazał gubernator.

Aby jednak rzecz całą w najprawdziwszem przedstawić świetle, aby nam nikt nie śmiał ani teraz, ani kiedyś później zrobić zarzutu, iż przesadne podajemy wiadomości o prześladowaniu wiary katolickiej w zabranych prowincyach — podajemy opis gwałtów krożańskich, skreślony przez Litwina, naocznego świadka, niewątpliwie na najzupełniejszą wiarę i zaufanie zasługującego.

„W rzeczywistości żadna z ofiar nie skonała na miejscu pod razami Kozaków, a z kilku osób, które — według raportów urzędowych moskiewskich, miały się

załamać na zamarzniętej sadzawce, wtedy gdy uciekały przed nahajami kozackiemi — znaleziono po stopieniu lodów tylko jedne zwłoki, mianowicie trupa mężczyzny średniego wieku, nieznanego w parafii krożańskiej. Natomiast następnego wieczora i w ciągu drugiego dnia ośm osób zakończyło życie wskutek obrażeń wewnętrznych (jak np. połamania żeber, zgniecenia klatki piersiowej itd.) otrzymanych podczas napadu Kozaków, a po części wskutek stratowania kozackiemi końmi. Mianowicie były to:

1—2. Dwie staruszki, żebrzące zwyczajnie pod kościołem; znano je w parafii tylko pod imionami chrzestnemi: Urszula i Weronika;

3—4. Dwie kobiety ze wsi Galinie, parafia krożańska, nazwiskiem Janowska i Szarniewska;

5. Jerulowa zmarła z podobnych przyczyn dopiero w kilka dni w wiosce Sajmajery;

6—7. Jeden włościanin spłynął krwią wskutek odcięcia ręki, drugi skonał w turmie przy policyi wskutek ran, zadanych mu przez Kozaków pod kościołem. Był ten ostatni mężczyzną około lat 40. Pochowani jako nieznane nikomu trupy.

8. Nakoniec na cmentarzu w Krożach znaleziono zwłoki zabitej starej kobiety, też nieznanej w parafii krożańskiej.

Trupy kazała policya natychmiast grzebać. Nie przeprowadzono przedtem żadnej indagacyi. Zabroniono nawet księdzu zapisać nazwiska ofiar znanych i uwidocznić je w metrykach zejścia. Nie pozwolono też pokropić święconą wodą dołów, w które złożono zwłoki ofiar. Nie był to pogrzeb, lecz zakopanie.

Tym więc sposobem, chociaż raporty moskiewskie nie rozmijają się ze ścisłą prawdą — twierdząc, że podczas szarży kozackiej nikt nie został zabity na miejscu, nie mniej jest niezbitą prawdą, że te szarże pozbawiły życia ośm osób. Oprócz tego rozkazu i w obecności gubernatora kowieńskiego Klingenberga byli następnie bici knutami kozackiemi szlachta drobna okoliczna i włościanie, których nazwiska podaję.

Oto nazwiska knutowanych, najprzód szlachty:

1) Józef Jezierski otrzymał 45 knutów.

2) Ignacy Brelski 40 knutów.

3) Jan Markiewicz 45 knutów.

4) Jan Popławski 40 knutów.

5) zagonowy szlachcic Kieterowski, przeszło 70 letni starzec, przez wzgląd jedynie na to, otrzymał tylko 25 knutów.

6) małoletniemu Ludwisiowi Samulakowi, 14-letniemu chłopakowi, wyliczono także 25 knutów.

7) Lubowicz otrzymał 30 knutów.

8) Bolesław Radział i Norbert Władyko, każdy po 40 knutów.

9) Józefowi Ryngajło za to, że się odgrażał, iż będzie skarżył, wyliczono więcej, bo 50 knutów.

Wszyscy ci knutowani należą do drobnej szlachty kowieńskiej. Tak samo byli bici włościanie i tak:

1) Stefan Budrajtis otrzymał 30 knutow.

2) Rymkis 40 knutów.

3) Jan Sajlin 20 knutów.

4) Młody parobczak p. Andruszkiewicza Robert dostał 35 knutów.

5) Włościanin Żutowt 40 knutów.

6) Franciszek Borbak 45 knutów.

Wszystkich kładziono na ławie i przytrzymywano podczas tej strasznej egzekucyi, nie wyjmując starców, ani dzieci.

Po kilka i kilkanaście knutów przez plecy bez kładzenia i przytrzymywania na ławie, dostało się wielu osobom — nazwisk ich nie pamiętam.

Gdy noc nadeszła, nastąpiły ohydne sceny gwałcenia kobiet, które pijane kozactwo i urzędnicy policyjni, wyłamawszy drzwi turmy, w której aresztowanych zamknięto, z więzienia uprowadzili, pomimo protestów, a nawet czynnego oporu kilku żandarmów, którzy stanęli w obronie nieszczęśliwych ofiar. Żandarmi nie mogli przeciw napastnikom użyć broni, ponieważ nie było oficera, a zresztą garstką tylko byli wobec tłumu pijanych Kozaków i urjadników.

Ofiar tych zgwałconych było 14. Nieszczęśliwe kobiety, między któremi były dziewczęta, żony i matki, młode i stare 60 letnie, przemocą zaprowadzili Kozacy do różnych domów, poprzednio zrabowanych.

Po zgwałceniu obili je i wyrzucili na ulice, grożąc, że gdyby się ośmieliły wrócić i zanieść skargi do oficera, to będą knutowane. Były to:

Józefa Wedejkówna dziewczyna lat 18 z Popiany, gwałcona przez całą noc przez dziesięciu Kozaków;

Anna Pretkiewiczowa, wdowa mieszkająca przy klasztorze, gwałcona przez 4 Kozaków;

Urszula Katowska, dziewczyna, gwałcona przez 4 Kozaków;

Emilia Lukszowa, kobieta chora, lat 60, zgwałcona przez 6 Kozaków, umarła w kilka dni później;

12 letnia córka Feliksa Andrzejewskiego, zgwałcona przez 8 Kozaków;

Maryanna Norkatis, dziewczyna z Popian, Wadejkowa Barbara ze wsi Popiany, Klimówna Józefa i Anna Barszówna, obie również ze wsi Popiany, każda gwałconą była przez kilka urjadników policyjnych;

Aniela Orwidowa z Króż, zamężna, poroniła wskutek zgwałcenia przez kilku Kozaków;

to samo stało się z żoną szewca, imieniem Lange z Króż;

Regina Żółpiówna ze wsi Jurkajce, Aniela Szybrówna z parafii krożańskiej, były gwałcone przez kilku Kozaków i urjadników.

Mówiono o 17 innych; nie znam ich jednak i nie widziałem.

Oprócz tego siedmdziesiąt sześć osób odniosło mniej więcej ciężkie, krwawe rany, bądź to przed samym kościołem, bądź w ucieczce przed Kozakami. Z tych jednak tylko jeden człowiek został raniony piką w twarz, a drugi kulą w bok, wszyscy inni mieli przeważnie na rękach i na twarzy poprzecinane mięśnie i skórę od knutów i potrzaskanych drzewców pik kozackich. O jednej kobiecie rannej śmiertelnie kulą rewolwerową słyszałem — ale jej nie widziałem.

Żaden z Kozaków szabli nie użył, a jeden tylko włościanin otrzymał cięcie koło ucha z rąk pijanego policyjnego urjadnika wieczorem podczas porywania kobiet z turmy".

* * *

Opowiadanie naocznego świadka było sprawdzone do najdrobniejszych szczegółów przez Komitet sformowany dla legalnej obrony włościan krożańskich.

V.

Adwokat Pepłowski.

P. Adolf Pepłowski, adwokat warszawski, po długich i różnych tergiwersacyach, nie przyjął na siebie obowiązku bronienia męczenników krożańskich, o który to obowiązek inni adwokaci porostu się ubiegali. Nie uważalibyśmy za stósowne mówić naszym czytelnikom o tem, że jakiś adwokat, zupełnie zresztą poza kóli kami prawniczemi warszawskiemi nieznany społeczeństwu polskiemu, nie brał udziału w obronie ofiar krożańskich, gdyby ów pan Pepłowski, skoro spostrzegł *post factum*, iż popełnił wielką niedorzeczność i opini swej wielce zaszkodził, zamiast milczeć ostrożnie i pozwolić wszystkim o swoim postępku zapomnieć, nie był rozpoczął w galicyjskich pismach całej polemiki nad tem, dlaczego tak postąpił a nie inaczej. Lecz, czy stało się to z powodu pyszałkowatości tego pana, czy z powodu braku u niego odwagi cywilnej, czy dlatego że nie chciał wiele czasu tracić za darmo, wyjaśnionem nie zostało. Gdyby jednak który z czytelników był ciekawym wiedzieć, co o swojem zachowaniu się drukował p. Pepłowski i co mu odpowiedziano, zechce przeczytać odnośne ustępy w nrze 274. 275. i 285. z r. 1894 *Gazety narodowej*.

BIBLIOTEKA NARODOWA